

Kathleen Creighton

Opiekunka czarnoksiężnika

Rozdział pierwszy

– Ja tam nie pójde – powiedział Pirat, potrząsając głową. – Ty idź.

– Ja też nie. – Wampir cofnął się.

– Mięczaki – stwierdził chłopak w masce i hełmie Tajemniczego Rycerza. Przenikliwy październikowy wiatr strząsał krople deszczu z jego peleryny.

Pirat kopnął leżący na chodniku kamień.

– Nie jestem tchórzem – odpowiedział zdecydowanie. – Brama jest zamknięta, co znaczy, że nie życzą sobie żadnych dowcipów.

– Ale światła się palą – zauważył Zorro. – Moja mama mówi, że kiedy jakieś dzieciaki są niepożądane, to wyłączają się światła i udaje, że nikogo nie ma w domu. Powinniśmy podejść do drzwi i spróbować.

– Wiesz, ten dom wygląda na opuszczoną przez duchy siedzibę. – Wampir spoglądał na budynek przez żelazne pręty bramy.

– Podobno tu mieszka jakiś naukowiec – odezwał się Zorro.

– Założę się, że jest stuknięty – szepnął Pirat.

– Może ten naukowiec jest czarownicą?

– Baby są czarownicami, idioto!

– Więc dobrze, może to czarodziej?

– No jak, zaczniemy w końcu? – Wampir zaczął powoli wczuwać się w rolę i uniośł ramiona. Nagle wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. – Spójrzcie, tu ktoś jest! – krzyknął, wskazując na gałęzie drzewa, pod którym stali.

– O rany, wygląda jak czarnoksiężnik z filmów Disneya!

„Czarnoksiężnik” z trudnością powstrzymał śmiech. Siedząc na gałęzi, wysoko nad głowami chłopców, musiał uważać, żeby nie spaść, tym bardziej że trzymał w ramionach czarnego kota. Jego ciężar zaczął mu już doskwierać, a przecież kot miał być jedną z atrakcji tego wieczoru.

– Zaczekajcie chwilę! – zawołał za przebierańcami doktor G. Culley Ward, znany fizyk jądrowy, potencjalny laureat Nagrody Nobla, ale dzieci oddaliły się pospiesznie. Trochę go zmartwiło, że chłopcy zwiali. Rzadko przebierał się z okazji Nocy Duchów i na ogół zapominał o pozostawieniu otwartej bramy. Miał więc nadzieję, że przygotowany dzisiaj przez matkę koszyk ze słodyczami do czegoś się przyda, ale teraz zauważył, że jego pomysł przywitania przebierańców nie był najlepszy. Postanowił opuścić kryjówkę, zwłaszcza że Albert zdążył już zaplątać się w krzakach i czekał na ratunek. Culley pomógł mu wydostać się z pułapki.

– To twoja wina – mruknął do kota bez cienia współczucia. – Następnym razem sam będziesz musiał się wygrzebać z potrzasku. Każdy czarny kocur włóczący się w Noc Duchów zasługuje na taką nauczkę.

Otworzył bramę, choć i tak przestał liczyć na spóźnionych przebierańców. Idąc w stronę domu, jakby od niechcienia głaskał lśniąca sierść Alberta. Było mu przykro, że dzieciaki

sąsiadów nie przepadają za miejscem, w którym mieszkał. On zawsze uwielbiał ogród wokół swojego domu – tutaj wychował się, tu spędził właściwie całe życie, nie licząc kilku lat w college'u. Do tego domu przywiózł swoją żonę. Był to szczęśliwy dom, pełen ciepła i śmiechu. Odkąd pamiętał, zawsze bawił się tu z dziećmi sąsiadów.

Powoli zapadał zmrok. Spojrzał na księżyc świecący pomiędzy drzewami. Jeszcze jako dziecko spędzał wiele czasu na rozmyślaniach o nim; zastanawiał się nad jego budową i jak można do niego dotrzeć. Marzył, żeby kiedyś postawić na nim stopę – jednak zawsze powracał z obłoków na ziemię, do rozważań nad cząsteczkami materii, izotopami i promieniami alfa. Księżyc nie wydawał mu się teraz wcale romantyczny, chociaż dzisiejszej nocy musiał przyznać, że księżycowe światło nadało sylwetce domu piękne gotyckie kształty. „Cóż – powiedział do siebie – może to miejsce wygląda na opuszczone i straszne, ale właśnie taki nastrój świetnie do mnie pasuje. „

Samotności pragnął i potrzebował najbardziej, mimo że wówczas wspomnienia z przeszłości wracały ze zdwojoną siłą. Z jednej strony miał świadomość, że ciągle coś mu ucieka, że coś traci, natomiast z drugiej nauczył się to ignorować. Atmosfera Nocy Duchów, przebierańców i całej rzeczywistości przeniosła go gdzieś w nieskończoność.

Nagle zaciśnięte na jego palcach zęby Alberta sprowadziły go na ziemię – kocisko przypominało w niewybredny sposób o swoim pustym żołądku.

– Przepraszam cię, stary druhu – powiedział Culley i poszedł z nim prosto do kuchni. Po krótkim czasie wszystko było już gotowe.

– Gdzie jest Prissy? – zapytał kota. Odpowiedzią na zadane pytanie było drapanie do drzwi. Mrucząc coś pod nosem, poszedł je otworzyć. Idąc odniósł wrażenie, że zapomniał o czymś ważnym. „Przecież matka zostawiłaby mi jakąś wiadomość, gdyby chodziło o coś istotnego” – pomyślał.

Wpuścił małą beżową kotkę do kuchni. Kiedy nakładał widelcem jedzenie do dwóch misek, Prissy ocierała się pieszczotliwie o jego nogi.

– Oj, Prissy, robisz się gruba. Lepiej uważaj, bo Albert woli kotki, które dbają o linię.

Kiedy skończył, włożył widelec do kieszeni koszuli, a pustą puszkę po jedzeniu dla kotów wstawił z powrotem do lodówki. Jego myśli znowu powędrowały daleko w nieznane i przemierzały tajemnicze obszary. Od tego momentu rzeczywistość i wszystkie jej problemy przestały się liczyć.

Elizabeth Resnick spojrzała na numer masywnej skrzynki pocztowej, oświetlonej reflektorami jej samochodu. „Wszystko się zgadza, trafiłam bezbłędnie” – pomyślała.

– Mamusiu, dlaczego stoimy? – Jej córeczka Wendy zaczęła wiercić się niecierpliwie na tylnym siedzeniu. – Co robisz, mamusiu?

– Zastanawiam się – mruknęła Elizabeth. – To nic takiego, kochanie. Siedź spokojnie, dobrze?

Wzięła głęboki oddech, wrzuciła bieg i powoli ruszyła w kierunku bramy. Była otwarta, co znaczyło, że doktor Ward oczekuje jej. Trochę obawiała się tego spotkania. Rozmowa z Grace Ward bynajmniej nie rozwiała jej wątpliwości.

– Och, dom babci! – ucieszyła się Wendy.

– Nie, kochanie – wyjaśniła łagodnie Elizabeth – to nie jest dom babci.

Zawsze gdy mówiła o Resnickach, starała się nie zdradzić głosem swego negatywnego nastawienia do teściów. W żadnym wypadku nie chciała, aby jej własne uprzedzenia wpływały na miłość Wendy do dziadków.

Kręta droga wiodła Wśród drzew i zarośli, które w blasku księżyca przypominały tajemnicze zjawy. Prawda, przecież dziś jest Noc Duchów... Elizabeth zdecydowanie wolała wyobrazić sobie to miejsce w świetle dnia, z ptakami śpiewającymi wśród konarów drzew i wiewiórkami buszującymi między opadłymi liśćmi. „Wiosną – myślała – będą tu kwitły krokusy i żonkile. To wymarzone miejsce dla dziecięcych zabaw.”

Zatrzymała swoją starą toyotę przed frontowymi schodami, wyłączyła silnik i zgasiła światła. Siedziała chwilę nieruchomo, wpatrując się w wielki dom.

– Może ich nastraszymy, przecież dzisiaj Noc Duchów – zaproponowała Wendy z nadzieją.

– Nie ma mowy. Powiedziałam to już, nie pamiętasz? Mama musi teraz porozmawiać z panem o pracy.

– To duży dom – zauważyła dziewczynka.

– Tak, rzeczywiście jest duży – zgodziła się Elizabeth, poprawiając się na siedzeniu. Duży dom oznacza przede wszystkim dużo pokoi, a z tym wiąże się dużo pracy. Może znajdzie się w nim pokój dla niej oraz dla pewnej bardzo energicznej małej dziewczynki?

Elizabeth ścisnęła mocniej rączkę Wendy, aby dodać sobie odwagi. Niepewnym krokiem podeszła do drzwi i nacisnęła przycisk dzwonka. Na wszelki wypadek dziewczynka nacisnęła go także. niespotykany dźwięk gongu rozbrzmiewał za masywnymi drzwiami, sprawiając Wendy dużą uciechę. Jej roziskrzone oczy i wesoła twarzyczka w czerwonym kapturze kostiumu ubranego z okazji Nocy Duchów sprawiły, że Elizabeth poczuła przyjemne ciepło w okolicy serca.

– Ktoś idzie – powiedziała podekscytowana Wendy.

– Tak sądzisz? – mruknęła niepewnie Elizabeth, sięgając jednocześnie za metalową kołatkę. Gdy jej dotknęła, drzwi niespodziewanie lekko otworzyły się, pociągając Elizabeth do środka. Ta chwila nie należała do najprzyjemniejszych; bezskutecznie próbowała odzyskać utraconą równowagę, a nieznajomy mężczyzna, który otworzył drzwi, starał się uchronić ją od upadku. Zapadła cisza.

– Przebierańcy?

Czas, który zatrzymał się, na chwilę w miejscu, teraz znów przyspieszył. Elizabeth niespodziewanie poczuła falę gorąca występującą na policzki oraz uścisk męskiej dłoni na ramieniu. Z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że stojący w drzwiach mężczyzna był młody i tylko o głowę wyższy od niej. Może nie tak wyobrażała sobie fizyka jądrowego, ale na pewno jego wygląd nie mógł jej przerazić. Czym więc należało wyjaśnić to nagłe zdenerwowanie i szybkie bicie serca? Pewnie tym, że jego ciemnobrązowe włosy wyglądały tak, jakby dopiero co wstał z łóżka, albo tym, że posłał jej zza okularów ciepłe spojrzenie brązowych oczu. Próbując przezwyciężyć zakłopotanie, potrząsnęła głową.

– Wendy, nie...

Dokładnie w tej samej chwili nieznajomy zapytał jeszcze raz:

– Przebierańcy?

– Nie, nie przyszyliśmy w tym celu. Zniwalaający błysk zniknął z oczu mężczyzny, a na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności.

– A jednak jesteście przebrane. To świetnie! Nie myślałem, że ktokolwiek dzisiaj... Poczekać chwilę. Powinny tu gdzieś być. – Rozejrzył się dookoła. Triumfalnie porwał z ziemi niewielki koszyk ze słodyczami. Nie przyglądając się dokładnie jego zawartości, zaczął przekładać słodycze do kieszeni koszuli.

Wtedy Elizabeth zauważyła, że z kieszeni wystaje mu widelec z resztkami czegoś podobnego do pieczeni. Jej zdenerwowanie zniknęło, a twarz rozkwitła uśmiechem. Przypomniała sobie słowa Grace Ward: „Mój syn potrzebuje opiekunki. Nie gospodyni, lecz opiekunki”.

Podczas gdy ona przypatrywała się uporczywie widelcowi, doktor Ward przyklęknął obok Wendy.

– Jesteś Czerwonym Kapturkiem?

Główka Wendy poruszyła się energicznie w dół i w górę.

– Czerwony Kapturek! – zawołała.

Tymczasem Elizabeth obserwowała człowieka, którego miała za chwilę poprosić o pracę. Zauważyła, że przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Przez delikatną tkaninę koszuli widziała, jak poruszają się mięśnie na jego plecach i ramionach, gdy dotykał peleryny Wendy.

Dziewczynka zrobiła krok naprzód i dotknęła twarzy mężczyzny pulchnym paluszkami. Gdzieś głęboko Elizabeth poczuła radosne wzruszenie oraz jednocześnie niepokój. Wendy zwróciła swoje wielkie niebieskie oczy na matkę i zdecydowanie oświadczyła:

– To jest pan.

Elizabeth uświadomiła sobie z przerażeniem, że „pan” jest przystojny, nawet za bardzo. Jego matka nie wspominała o tym.

– Tatuś? – zapytała jej córka.

– Och! – Elizabeth uśmiechnęła się przepaszająco i przygarnęła dziewczynkę do siebie. Mężczyzna wstał i widać było, że nic nie rozumie. Elizabeth wyciągnęła do niego rękę.

– Przepraszam, ale ona jest właśnie w takim wieku, że... Doktorze Ward, nazywam się Elizabeth Resnick. – Uścisk jego ręki był zaskakująco zdecydowany. – Skierowała mnie tutaj pańska matka. Przyjechałam w sprawie posady gospodyni. Pani Ward dała mi do zrozumienia, że pan będzie mnie oczekiwał.

Pamiętała dokładnie, co powiedziała jej Grace: „Powie mu, że pani przyjedzie, ale on prawdopodobnie i tak o tym zapomni”.

Culley zamknął na chwilę oczy.

– Ach, więc o to chodziło. Wiedziałem, że coś... Istotnie, Grace – to znaczy moja matka – wspominała o pani, ale zwykle zostawia jeszcze dokładną informację. Nie wiem, czy...

– Może – zasugerowała łagodnie Elizabeth – ma ją pan w kieszeni?

– Och, być może... – uśmiechnął się nieśmiało i zaczął przeszukiwać kieszenie. Ostrożnie wyjmował ich zawartość, aż trafił na widelec, ale nie zrobiło to na nim większego wrażenia –

ze spokojem odłożył go na bok. Chwilę potem znalazł złożoną kartkę, którą szybko przeczytał.

– Proszę, niech pani tutaj spojrzy, Elizabeth. Nic nie wiedziałem o tej sprawie. To jest, co prawda, ogromny dom, ale mieszkają tu tylko dwie osoby, więc nie ma dużo pracy z jego utrzymaniem. Sprzątaczką przychodzi raz w tygodniu, żeby zrobić dokładne porządki, a zatem moja matka...

– Pańska matka mówiła, że będzie jakiś czas poza domem. Czyżby planowała dłuższy wyjazd? – Elizabeth próbowała taktownie uświadomić mu, iż pani Ward nie chodziło wyłącznie o opiekę nad domem.

– Owszem, ale to przejściowa sytuacja. Potrwa przez miesiąc albo niewiele dłużej. Czy moja matka to wyjaśniła?

– Tak, rzeczywiście – potwierdziła Elizabeth. „Życie jest krótkie – powiedziała jej Grace Ward. – Moja droga, zawsze chciałam zobaczyć świat, a przecież z biegiem czasu nie staję się młodsza. Jeśli okaże się pani odpowiednią do tej pracy, jak sądzę, to nawet z dala od domu będę mogła być spokojna. „

– Szczerze mówiąc, powinna pani poszukać bardziej perspektywnego zajęcia. – Culley spojrział stanowczo na Wendy, która chowając się za matkę, przesyłała mu rozbrajające uśmiechy.

Całkiem nieoczekiwanie Elizabeth uświadomiła sobie, że na przekór wszystkiemu bardzo chciałaby zostać gospodynią u doktora Warda. Po prostu dobrze się tutaj czuła. Dom, podobnie jak doktor Ward, potrzebował opiekuńczego ciepła jej rąk. Poza tym byłby idealny dla Wendy. Kamienne ściany – świadczące o dostatku – były ponure, ale dawały poczucie bezpieczeństwa, w dodatku okolica była przyjemna, a doktor Ward cieszył się powszechnym szacunkiem. Nawet Resnickowie nie byłiby w stanie doszukać się jakichkolwiek mankamentów w tym miejscu.

– Doktorze Ward, z przyczyn znanych pańskiej matce, a w które nie chciałabym się teraz zagłębiać – skinęła znacząco głową w stronę córki – ta praca bardzo by mi odpowiadała. Wendy i ja potrzebujemy mieszkania, zaś mnie interesuje praca, która zajmie mi dużo czasu.

– Pani myśli o zamieszkaniu tutaj?!

To oczywiste, że doktor Ward nie brał tego pod uwagę. Wyraz konsternacji na jego twarzy świadczył o tym dobitnie.

– Oczywiście. Tak umówiłam się z pańską matką. Zapewniała mnie, że w domu znajduje się wiele wolnych pokoi.

Culley posłał jej spojrzenie pełne niepokoju.

– Owszem, lecz nie jest to dom odpowiedni dla dzieci. To znaczy... Niech pani spojrzy chociażby na schody.

– Mamo, mamo, popatrz na mnie! – usłyszała głos Wendy.

Dorośli odwrócili głowy. Wendy stała w połowie ogromnych krętych schodów i uśmiechała się do nich wesoło.

– O czym pan mówił? – Elizabeth próbowała kontynuować rozmowę.

– Czy me powinna pani?...

Elizabeth westchnęła. Wiedziała, że małej nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale Wendy doprawdy mogła wybrać stosowniejszą chwilę do demonstrowania jednej z klasycznych manier dwulatków. Spróbowała delikatnie przywołać ją do porządku.

– Wendy, wróć tutaj. Co tam robisz na górze, kochanie?

– Wspinam się – odpowiedziała Wendy bez cienia strachu w głosie.

– Kochanie, nie jesteśmy u babci. Wróć na dół, dobrze?

– Nie.

Brwi Culleya uniosły się.

– Wendy, wróć tutaj natychmiast – powiedziała podniesionym głosem Elizabeth.

Culley oparł się o ścianę i patrzył wyczekująco. Wendy zdawała się nie zwracać większej uwagi na polecenia matki, – Hej, hej! – zawołała, machając ręką i wspinając się coraz wyżej.

– Cholera – mruknęła Elizabeth. Na szczęście Culley nie dosłyszał tego. Pomyślała, że jej zdenerwowanie zapewne go bawi – zrezygnowanym wzrokiem spojrzała w jego stronę. Przypatrywał się jej uporczywie. Pewien specyficzny błysk w jego oczach potwierdził jej podejrzenia. Potrząsnęła głową – Przepraszam, doktorze Ward, ona jest trochę uparta. – „Wendy, ty mały potworze, nie rób mi tego. Odbierasz mi nadzieję” – pomyślała.

Wendy dotarła do szczytu schodów i zniknęła. Elizabeth wymownie chrząknęła.

– Chyba będzie lepiej, jeśli pójde tam i...

Culley wyprostował się i wykonał ręką gest zaproszenia.

– Ależ proszę bardzo.

Zrezygnowana zaczęła wchodzić na górę. Mężczyzna włożył ręce do kieszeni i bez słowa ruszył za nią. Elizabeth przełknęła ślinę i spoglądając na niego, wyjaśniła:

– Jest mi naprawdę przykro. Ona jest właśnie w tym wieku...

Culley był zamyślony. Elizabeth starała się za wszelką cenę wyczytać z jego twarzy zgodę na pracę. Sytuacja nie wyglądała jednak obiecująco. Czy można powierzyć posadę gospodyni osobie, która nie potrafi uporać się z własnym dzieckiem? Culley był bez wątpienia atrakcyjnym mężczyzną, ale w tej chwili widziała tylko jego zmarszczone czoło i zaciśnięte usta. Poczula, że musi coś powiedzieć.

– Pan także wychowywał się w tym domu, prawda? Założę się, że miał pan świetną zabawę, zjeżdżając po poręczy tych schodów.

Podniósł głowę i spojrzał na nią. Dostrzegła delikatny uśmiech na jego twarzy. Znowu przypominał małego chłopca...

– Tak – powiedział cicho. – Owszem, tak było. – Zatrzymał się w połowie schodów. Elizabeth zrobiła to samo. Ich spojrzenia spotkały się. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy słowa stają się niepotrzebne, nawet dla nieznajomych.

– Na Boga, ile tu jest pomieszczeń – jęknęła Elizabeth z niedowierzaniem. Wendy nie było nigdzie w pobliżu. Pootwierane wszędzie drzwi skusiły zaciekawione dziecko, które zapewne bawi się gdzieś w chowanego.

– Niech pani posłucha, Elizabeth... Nie chodzi o to, że w tym domu brakuje miejsca dla pani i dziecka, tylko czy może sobie pani wyobrazić małą dziewczynkę szczęśliwą w tym mauzoleum?

O tak, mogła. Mogła wyobrazić sobie radosne dziecko w tym olbrzymim domu z ogromnymi oknami wpuszczającymi promienie słońca, ze wspaniałą poręczą do zjeżdżania i mnóstwem pokoi do zabawy w chowanego. Tak samo potrafiła wyobrazić sobie spędzone tutaj szczęśliwe dzieciństwo pewnego – raczej poważnego – chłopca. Właściwie mogłaby tu żyć cała gromada śmiejących się i hałasujących dzieciaków. Ten dom tęsknił za dziećmi.

Culley zaczął mówić powoli, zamyślony:

– Proszę nie myśleć, że nie lubię dzieci. Wprost przeciwnie. Ale sama pani rozumie – moja pracownia jest na górze i obawiam się, że...

– Pracownia? Myślałam, że znajduje się w Instytucie.

– Tak, lecz tutaj robię doświadczenia. Eksperymenty. I naprawdę potrzebuję spokoju. Przykro mi. To nie ma nic wspólnego z panią i pani córką. Ona jest cudowna, ale myślę, że...

Miał zamiar jej odmówić, a ona właściwie była na to przygotowana. Ostatecznie, są przecież inne zajęcia. Jeśli tu jej się nie powiedzie, to spróbuje gdzie indziej.

– Ona chodzi spać o siódmej – powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał naturalnie.

– Nie będzie zakłócać pańskiej pracy, doktorze Ward, obiecuję. Proszę dać mi szansę. Ja... Ja naprawdę potrzebuję tej pracy.

Culley opuścił wzrok. Elizabeth, podążając za jego spojrzeniem, zorientowała się, że jej dłonie opierają się o jego ramiona. Czuła poprzez materiał koszuli ciepło jego ciała. Jej usta rozchyliły się i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, jakaś magiczna siła przyciągnęła ich ku sobie.

Z dała dobiegło ich ciche pochlipywanie dziecka.

Rozdział drugi

Culley poruszył się pierwszy. Biegając czuł, jak krew pulsuje mu w żyłach. Schody. Korytarz. Elizabeth podążała tuż za nim. Kiedy dostrzegł idącą w ich stronę małą dziewczynkę, zatrzymał się nagle. Elizabeth stanęła obok i chwyciła go za ramię. Wtedy poczuł, że cała drży.

– Wendy, kochanie, czy coś się stało? – zapytała przestraszona.

Czerwony kapturek spadł z głowy dziewczynki, a kosmyki jasnych włosów przykleiły się do mokrych policzków. Próbując opanować płacz, mała podniosła do góry rączkę.

– Kotek... chciał to zjeść – poskarżyła się, pociągając nosem.

Culley wpatrywał się uporczywie w mokre czarne kociątko wijące się w jej rękach.

– Dobry Boże – szepnął.

Małeńki kociak otworzył różowy pyszczek i miauknął słabo.

Elizabeth uklękła przy dziewczynce i zaczęła ją uspokajać.

– Wszystko w porządku, kochanie... Mogę go obejrzeć?

– Kotek chciał go zjeść! – zawołała mała drżącym głosem.

– Nie, kochanie, nie... Daj to mamusi. On wcale nie chciał go zjeść, on go tylko mył. Czy lizał go? Tak? Kochanie, w taki sposób kotki myją swoje dzieci, wiesz już teraz?

Wendy głośno pociągnęła nosem, niezupełnie przekonana. Tuląc córkę w ramionach, Elizabeth spojrzała na Culleya. W tej chwili mężczyzna nie widział wokół siebie nic, prócz twarzy w kształcie serca – takiej jak z obrazów Botticellego – w czerwonozłotym blasku ogromnej miłości, radości i tklivości.

– Gdzie? – zdołał tylko wykrztusić.

Elizabeth skinęła głową ze zrozumieniem i zwróciła się znów do dziecka:

– Wendy, możesz powiedzieć, gdzie znalazłaś to kociątko?

Dziewczynka skinęła główką.

– Pokażesz mi?

– Tak.

Zaciskając rączkę na palcu Elizabeth, pociągnęła ją w stronę sypialni Culleya.

– O mój Boże – mruknął Culley i ruszył za nimi.

Zgodnie z przypuszczeniem, na środku jego łóżka leżała Prissy. Kotka spojrzała na intruzów, a po chwili zajęła się miauczącym tłumoczkim leżącym między jej łapami. Culley jęknął i zasłonił oczy.

– A niech to! – szepnął ze złością.

Elizabeth przyklękła obok łóżka i przyciągnęła Wendy do siebie.

– Widzisz? – zapytała cicho. – Kotek ma dzieci, czyż to nie cudowne?

Wendy entuzjastycznie skinęła głową.

– Popatrz, są całe mokre i śliskie. Kotka liże je, żeby były czyste. A teraz odłóżmy małego, żeby i jego mogła umyć, dobrze?

Wendy przytaknęła i powiedziała zachwycona:

– Kotek go umyje.

Gdy dziewczynka zajęła się podziwianiem kociej rodziny, Elizabeth wstała, uśmiechając się łagodnie.

– Ależ niespodzianka... – zauważyła.

– Właśnie miałem to powiedzieć.

Elizabeth otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Culley pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział spojrzenia tak pełnego wyrazu.

– Nie spodziewał się pan tego?

– Myślałem, że ona jest po prostu gruba. Powstrzymała śmiech, bo nie chciała być niegrzeczna.

– Cóż z pana za naukowiec! – wykrzyknęła żartobliwie.

– Jestem fizykiem, a nie weterynarzem! – wypalił.

– Owszem, ale co teraz będzie? Cofnął się o krok.

– Niech pani nie patrzy na mnie takim wzrokiem. Elizabeth patrzyła jednak nadal wyczekująco.

– Niech pani posłucha... Zajmowanie się kotami nie należy do moich mocnych stron. Nie mam pojęcia, co mógłbym... – Rozłożył bezradnie ręce.

Nie kryjąc współczucia, zapytała:

– Nigdy nie miał pan zwierząt? Nawet w dzieciństwie?

– Jasne, że miałem. Psy, koty... Ale nigdy nie dopuszczono do tego, żebym... Ten cholerny kot nawet nie jest mój – rzucił poirytowanym tonem.

Elizabeth zdziwiła się.

– Naprawdę? Wygląda na to, że ona czuje się tutaj zadomowiona.

Culley spojrział na nią krytycznie. Co sobie wyobraża ta kobieta wchodząca niespodziewanie do jego domu, do jego sypialni, próbująca wprowadzać tutaj swoje zwyczaje, tak jakby miała do tego prawo? Próbował znaleźć jakiś sposób, aby okazać jej swoje niezadowolenie, a przynajmniej oprzeć się niezwykleму blaskowi jej oczu, lecz nie potrafił.

– Faktycznie, przecież ona jest z Albertem. Któregoś dnia przyprowadził ją do domu.

– Albert?

– To mój kot. On jest za to wszystko odpowiedzialny. Czy możemy ją ruszyć z mojego łóżka?

Przez chwilę w ciszy patrzyli na winowajczynię. Prissy ignorowała ich zupełnie, matkując zapamiętałe swoim nowo narodzonym dzieciom. Nie zwracała także większej uwagi na Wendy, która wspięła się na łoże o królewskich rozmiarach, żeby być bliżej centrum wydarzeń.

– Szczerze mówiąc, wiem niewiele więcej niż pan. Rodzące się koty ostatni raz widziałam w dzieciństwie, ale sądzę, że powinniśmy zostawić ją w spokoju.

Mimo że nie był zachwycony tym, co działo się na jego łóżku, przyznał Elizabeth rację.

– W porządku. Czy ona?... czy możemy jej jakoś pomóc? Może wezwać weterynarza?

– Wygląda na to, że obejdzie się bez naszej pomocy. W takich sytuacjach koty potrzebują

tylko ciszy i spokoju.

Culley chrząknął zmieszany. Zrobiło się jej go żal, więc poklepała go po ramieniu i pocieszyła.

– Na wszelki wypadek powinniśmy doglądać jej, a potem znaleźć jakiś miły kącik.

– Przypuszczam, że to długo potrwa – powiedział ponuro. Przyszło mu na myśl, że księżniczka Kerissa bardzo cierpi, podczas gdy on bawi się w położną. Jediną dobrą stroną tej sytuacji było dość sympatyczne towarzystwo. Spojrzał na Elizabeth i zaproponował:

– Może ma pani ochotę na gorącą czekoladę?

– Gorącą czekoladę? To byłoby... – Zakłopotanie na jej twarzy zastąpił uśmiech. – Och, zapomniałam! Zrobiło się późno. Ona powinna już dawno spać. Wendy, kochanie... – Podeszła w stronę łóżka. – Moja malutka...

Culley zbliżył się do niej i razem patrzyli na śpiące dziecko. Mała jasna główka spoczywała na zaciśniętej piąstce, tuż obok kotki i kociąt.

– No jasne, zachowywała się zbyt cicho – szepnęła Elizabeth.

Culley nie odezwał się, patrzył z góry na piękne czerwonozłote włosy Elizabeth. Poczul ich cytrynowy zapach. Dziewczyna stała blisko niego, mógłby ją objąć ramionami... Oczywiście były to wyłącznie naukowe spekulacje.

– Ona śpi, więc cóż z tą czekoladą?

Odwrociła się w jego stronę z rozchylonymi ustami. Jej oczy wyrażały ogromną czułość i miłość do dziecka. Była blisko, tak bardzo blisko, że Culley dostrzegł piegi na jej jasnej cerze. Czując przyspieszone bicie serca, spróbował pokierować swoje myśli na tory naukowej analizy, ale na próżno.

– Dziękuję.

– Ona śpi. Może pani zostać i dotrzymać mi towarzystwa.

– Dobrze. – Zrobiła krok do tyłu. – Wolalabym jednak zostać tutaj, jeśli pan pozwoli. Wendy może obudzić się w każdej chwili. To jest dla niej obce miejsce i gdyby mnie nie było...

– Rozumiem, proszę więc zostać tutaj, ja tymczasem pójdę do kuchni i zrobię czekoladę. A może woli pani kawę?

– Nie, dziękuję. Czekolada będzie najlepsza – uśmiechnęła się. Jej uśmiech towarzyszył mu, gdy szedł do wielkiej pustej kuchni.

Albert leżał zwinięty w kłębek na swoim ulubionym miejscu. Culley spojrzał na niego z niechęcią.

– Spójrz, stary, do czego doprowadziłeś!

Kot otworzył jedno oko, spojrzał na niego obojętnym wzrokiem i znów zapadł w drzemkę.

Kiedy Culley znalazł się na górze z dwiema filiżankami czekolady w ręku, zastał Elizabeth skuloną na łóżku obok Wendy. Kiedy go usłyszała, uniosła głowę i zaczęła szybko wstawać, jakby czując się winną.

– Nie, niech pani nie wstaje – szepnął, podając jej filiżankę. Znowu zadziwiła go jej uroda. Tak pięknie wyglądała w tej chwili... Przypominała mu też bohaterki z obrazów

Renoira... Czerwonozłote włosy i jasna delikatna twarz na tle ciemnego pledu.

Kim była? Gdzie ją poznała jego matka? To wprost niewiarygodne, że tak piękna kobieta zastukała do jego drzwi w Noc Duchów, aby prosić go o posadę gospodyni. Wcale nie pasowała do tej roli. Była mała i szczupła, krucha i delikatna, dzięki czemu wydawała się być niewiele większa od swojego dziecka. I jeszcze ten niezwykle wyraz twarzy, coś dziwnego w jej oczach, kiedy patrzyła na córeczkę – odwaga, serce... Culley nie umiał tego nazwać.

Oparta na łokciu wzięła z jego ręki filiżankę, uśmiechając się jak mała dziewczynka, która zobaczyła zabawkę.

– Urodziła jeszcze jednego, kiedy pana nie było – poinformowała go. – Jest w białe łatki.

Patrzył, jak ostrożnie piła gorącą czekoladę, zlizując piankę z górnej wargi. Usiadł na łóżku, bokiem do jej. Było cicho.

– Dobra – powiedziała Elizabeth po chwili. – Bardzo mi smakuje.

– Nie jest pani zdziwiona? Na przekór temu, co mówi o mnie moja matka, nie jestem kompletnym niedojdą. – Kiedy Elizabeth pominęła te słowa milczeniem, dodał lekko rozbawiony: – Ona sądzi, że potrzebuję opiekunki, ale to chyba pani wie. Rzeczywiście jestem czasem trochę... roztargniony.

Jej głos był podejrzenie cichy.

– Naprawdę? Nie zauważyłam.

– Tak; jestem, ale to nic poważnego – po prostu czasem zapominam o tym, gdzie powinienem być, lub odkładam coś w niewłaściwe miejsce.

– Tak jak widelec? – Usłyszał jej śmiech. Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Słucham?

– Nie, nic, naprawdę nic. Zachmurzył się.

– Mogę zadać pani jedno pytanie?

– Jasne.

Jej odpowiedź była spontaniczna, natychmiastowa, zdecydowana.

„Taka jak ona sama” – pomyślał.

– Dlaczego ktoś taki jak pani chce prowadzić dom komuś takiemu jak ja?

Spuściła oczy, unikając jego wzroku.

– Co pan miał na myśli, mówiąc: „ktoś taki jak pani”?

Sposób, w jaki zadała to pytanie, dawał dwie możliwości wyjaśnień. Culley nie chciał mówić o sobie, wybrał więc tę drugą.

– Jest pani młoda, atrakcyjna, inteligentna, samotna, a w dodatku... matka – dokończył z niepewnym uśmiechem.

Spojrzała na swoje palce obejmujące filiżankę. Nie miała obrączki.

– Rozwiedziona? Potrząsnęła głową.

– Wdowa.

– Przepraszam – powiedział ochryplym głosem. Rozumiał dobrze jej ból i smutek. Mieli za sobą te same przeżycia i zapewne podobne wspomnienia.

– Nic się nie stało. Właśnie minął rok.

– Mnie zdarzyło się to pięć lat temu i nadal jest mi ciężko.

Jej spojrzenie przemknęło po jego twarzy.

– Czy moja matka nie mówiła pani o tym? – zapytał cicho.

– Wspominała, że pańska żona nie żyje, ale... – zawiesiła głos.

– To był nieuleczalny przypadek. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. A pani mąż?

– Wypadek – rzuciła lakonicznie. Nieoczekiwanie Culley doświadczył nowego, dawno zapomnianego uczucia. Był zatroskany o tę kobietę, ale im bardziej próbował ją poznać, tym bardziej powiększał się dystans między nimi.

– Co... – spytał tonem przypadkowego rozmówcy, starając się ukryć swoje domysły – robiła pani przez ostatni rok? To znaczy... Mam na myśli pracę i mieszkanie.

Elizabeth wzruszyła ramionami i przechyliła się, by odstawić pustą filiżankę na nocną szafkę.

– Mieszkałam z teściami.

– Aha – powiedział Culley, skinąwszy głową – rozumiem.

Nie zadawał więcej pytań, już wiedział. Słowa Elizabeth zawierały wszystko. Wyobraził sobie jej sytuację, sytuację młodej samotnej kobiety, próbującej własnymi siłami zarobić na życie i wychować dziecko. Nawet gdyby miała dobrą pracę i niezłą pensję, to płacąc za czynsz i opiekę nad dzieckiem, byłaby w finansowych tarapatach. Mogła – tak jak większość pracujących matek – być ze swoim dzieckiem tylko przez kilka godzin dziennie, musiałyby godzić się z tym, że inna kobieta koi bóle i troski jej córeczki oraz uczestniczy w niezapomnianych dziecięcych doświadczeniach i odkryciach. Doskonale rozumiał, dlaczego Elizabeth musiała korzystać z gościny i pomocy teściów.

Uświadomił sobie też, z jakiego powodu nie zdołał jej dotąd jednoznacznie określić. Dostrzegał teraz dumę i determinację w postępowaniu, macierzyńskie poświęcenie. Podziwiał jej odwagę i wytrwałość.

Nie wiedział, jak długo milczał. Zwykle kiedy się zamyślał, tracił poczucie czasu. Elizabeth zasnęła. Leżała na boku, jedną rękę miała pod głową, drugą delikatnie obejmowała dziewczynkę. Tuż obok nich, z zamkniętymi oczami, leżała kotka.

Culley przyglądał się im długo z zainteresowaniem. Elizabeth miała na sobie wrzosowo-szary, cienki sweter z małym wycięciem przy szyi. Sweter doskonale harmonizował z barwą jej oczu i Culley zdziwił się, że nie dostrzegł tego wcześniej. Tak, ale przedtem była okryta – zapamiętał coś w paski – chyba płaszczem. Tak, leżał teraz na krześle przy oknie, razem z czerwoną peleryną Wendy. Miedziane włosy Elizabeth odrzucone do tyłu odsłaniały małe delikatne ucho i niewielki kolczyk migoczący jak kropla rosy na płatkach róży.

Nieoczekiwanie poczuł ogromną chęć, by ją dotknąć. Był zaskoczony własnym doznaniem, więc wstał i z bezpiecznej odległości przyglądał się matce, dziecku, kotce i kociętom śpiącym smacznie w jej łóżku.

Ocknął się z zamyślenia dopiero po dłuższej chwili. Ostrożnie przykrył pledem śpiącą kobietę i dziecko i wyszedł, zostawiając palącą się nocną lampkę.

Elizabeth czuła się całkowicie rozluźniona, leżąc pod ciepłym pledem, słuchając

mruczącego przy jej uchu kota oraz posapywania Wendy trzymającej głowę na jej ramieniu.

Zamrugła powiekami, otwierając oczy, i rozejrzała się dookoła. Złote światło lampy rozjaśniało ciemności. Dlaczego Culley nie obudził jej i nie odesłał do domu? Zamiast tego okrył ją i odszedł po cichu, zostawiając swoje łóżko kotom i dwóm nieznanym. Znów zamknęła oczy i pomyślała o nim, śpiącym gdzieś w tym ogromnym wyciszonym domu, o jego okularach leżących na nocnym stoliku, ciemnych rzęsach rzucających półokrągłe cienie na policzki, szorstkim podbródku, zbyt długich, opadających na czoło włosów, o jego ustach. „To musi być dobry człowiek” – pomyślała z dziwnym drżeniem serca.

Czuła, że powinna wstać, obudzić Wendy i odejść stąd. Ale... nie wiedziała, która jest godzina. Na pewno było późno – gdyby teraz obudziła Wendy, mała miałaby kłopoty z ponownym zaśnięciem. I co powiedzieliby teściowie, gdyby zjawiała się o tej porze, ciągnąc półprzypomną Wendy za sobą? Wyrzutom i uwagom na pewno nie byłoby końca. Na myśl o tym – nawet owinięta w ciepły wełniany pled – zadrżała gwałtownie. Zobaczyła pełne dezaprobaty spojrzenia Resnicków, usłyszała słowa krytyki, pytania, insynuacje... Och, jak bardzo nie chciała tam wracać.

Strach narastał w niej coraz bardziej z każdym mijającym dniem. Pomyślała o swoim pokoju i pokoju Wendy, urządzonych specjalnie dla nich w barwach koralu i różu. Margaret wynajęła w tym celu zawodowego dekoratora. Na takie sprawy nie szczędziła pieniędzy, często powtarzając synowej, że obie są wszystkim, co zostało jej po Kevinie.

I znów Elizabeth powróciła myślami do przeszłości. Robiła to zresztą bardzo często, leżąc samotnie w długie bezsenne noce. Może gdyby Resnickowie potrafili spojrzeć na swojego przystojnego, inteligentnego i utalentowanego syna trochę bardziej krytycznie, wszystko potoczyłoby się inaczej? Może Kevin umiałby wtedy i przyjąć jej miłość? Może zdołałby powstrzymać się od brania narkotyków, które go zniszczyły, zniszczyły całą jej miłość do niego na długo przedtem, zanim wziął prochy po raz ostatni i rozbił się na drzewie.

Nie było jednak sensu myśleć o tym teraz. Już dawno temu powzięła decyzję. W tamtym domu czuła się obco i niepewnie. Powinna zatem sama spróbować stworzyć jakieś miejsce dla siebie i Wendy, bezpieczne i szczęśliwe. Ogarnęła wzrokiem pokój. Wszystko w nim było utrzymane w odcieniach zieleni i brązu. Jak strudzony wędrowiec pragnący ogrzać ręce przy ogniu, jak zagubione dziecko poszukujące przywracających spokój ramion matki, tak ona zapragnęła pozostać tu na zawsze... Taką miała nadzieję...

Ostre poranne słońce obudziło Culleya. Nic dziwnego, wybrał jedną z sypialni wychodzących na wschód, ale był to pokój, w którym sypiał w dzieciństwie. Prawie wszystkie jego rzeczy usunięto stąd dawno temu, jednak tapeta pozostała ta sama, niebieska, w okręty i żaglowce sięgające masztami do nieba. Zawsze ją lubił. Mimo że łóżko należało do dużych i wygodnych, spędził tę noc, śpiąc w ubraniu, przykryty kocem i teraz nie czuł się najlepiej. Miał ogromną ochotę na prysznic.

Przeciągając się pomyślał, że z kąpielą pod prysznicem mogą być problemy. Jak w większości starych domów, tak i w tym było zbyt dużo sypialni, a za mało łazienek. Właściwie były tylko dwie, położone na przeciwległych końcach korytarzy. Najbliższa, usytuowana obok pokoju, w którym dzisiaj spał, należała do matki. Jego znajdowała się piętro

nizej, naprzeciwko sypialni. Początkowo chciał skorzystać z łazienki matki, ale wszystkie przybory osobiste miał w tej drugiej. Czyste ubrania znajdowały się w sypialni, którą zajmowały teraz dwie nieznajome oraz koty.

Ziewając i wzdychając, wstał i powłókł się boso korytarzem. Zaskoczyła go absolutna cisza. „Cholera – pomyślał – jak wziąć rzeczy, nie budząc gości?” Prawdopodobnie zdołałby przejść na palcach tam i z powrotem, ale odgłosy otwieranej szuflady obudzą je na pewno.

Nieoczekiwanie wyobraził sobie Elizabeth z lekko potarganymi włosami i zaróżowionymi od snu policzkami. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego znad poduszki. Ta wizja spowodowała dodatkowe bicie serca.

Uśmiechnął się i zatopił we wspomnieniach. Wspominał siebie i Shannon, przewracających się na rozgrzanych słońcem prześcieradłach, śmiejących się i zapewniających sobie nawzajem, że nie mogą, że nie powinni... Nie teraz... Że po prostu muszą wstać i iść do pracy...

Tamto jednak minęło, nic nie może mu zwrócić Shannon. To przeszłość. Tymczasem terażniejszość czeka na niego w sypialni. Nie może odkładać tego na później. Zdecydował się. Potrzebował kąpieli, potrzebował czystych ubrań; musiał wejść do swojej sypialni. Zdecydowanym krokiem zszedł na dół i energicznie zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Powoli, ostrożnie nacisnął klamkę, otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Pokój był pusty.

Rozdział trzeci

W sypialni nie było nikogo. Pościel na łóżku pozostawiono w okropnym nieładzie. Nagle Culley zauważył pudełko stojące w rogu pokoju. W środku, na pościeli ułożonym z jego starych ulubionych koszul, spały kociaki. Rozejrzał się, ale nie zauważył ich matki. Miał jednak wrażenie, że ktoś inny – nie Prissy – ułożył maleństwa równo jedno obok drugiego. Spojrzał na nie jeszcze raz i westchnął cicho.

A więc odeszły... Życie będzie mogło znowu wrócić na dawne tory i biec spokojnie, bez żadnych „rodzinnych” problemów. Dzięki Bogu, że tak się wszystko skończyło, miał przecież tyle ważnych spraw do załatwienia: badania cząsteczek alfa, nowe systemy komputerowe, księżniczkę Kerisę, którą trzeba było ratować...

Wreszcie mógł poczuć się naprawdę swobodnie. Mógł zrzucić z siebie ubranie i wziąć poranny prysznic. Wszystko znów było na swoim miejscu.

Postanowił najpierw zejść do kuchni. Prissy jest na pewno głodna i lepiej nie myśleć, co może się przydarzyć, jeśli szybko nie dostanie jedzenia...

Zbiegając po schodach, poczuł zapach parzonej kawy. Serce zaczęło bić mu coraz szybciej, ale nie chciał przyznać się sam przed sobą, jaki był powód nagłego zdenerwowania. Po chwili usłyszał głosy, dochodzące z kuchni.

Zajrzał do środka. Nie umiałby zaprzeczyć, że widok Elizabeth i Wendy ucieszył go. Dopiero teraz zrozumiał, że przed chwilą wcale nie odczuwał ulgi, myśląc o spokojnym i pustym domu.

Elizabeth stała przy stole, wyciskając sok z pomarańczy. Culley oparł się o drzwi i obserwował ją. Podziwiał łatwość, z jaką radziła sobie ze starą sokowirówką. Zauważył, że w porannym świetle jej włosy wydają się tylko o ton ciemniejsze od koloru pomarańczy.

Wendy leżała na podłodze, zawzięcie malując obrazki w książeczce. Gdy zauważyła Culleya, przestała rysować i krzyknęła wesoło:

– Cześć, tato!

Elizabeth odwróciła się raptownie.

– Nie, kochanie. Pamiętasz, co ci mówiłam? To nie jest tata, to jest doktor Ward.

Jej delikatny głos obudził drzemiące w nim wspomnienia... Culleyowi wydawało się, że znowu słyszy słowa pełne miłości, które nie tak dawno witały go każdego ranka...

– Doktor Ward? – powtórzyła Wendy bez przekonania, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Dzień dobry – odpowiedział Culley i zbliżył się do niej.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku – powiedziała, wskazując na owoce. – Kiedy wypuszczałam rano koty, zauważyłam, że w ogrodzie rosną krzewy pomarańczowe. Pomyślałam sobie, że...

Przerwał jej ze zniecierpliwieniem.

– Oczywiście. Może pani zrobić z nimi, co chce. W końcu po to są.

– Dziękuję. – Elizabeth podała mu sok. – Zaparzyłam też kawę, na wypadek gdyby miał pan ochotę...

Culley zmrużył oczy i pił. Sok był wyśmienity. Po chwili spojrzał na Elizabeth, która obserwowała jak zahipnotyzowana każdy jego ruch.

– Właśnie to było mi potrzebne. – Odstawił szklanę, mimo że nadal odczuwał pragnienie.

– Wendy dzielnie mi pomagała. – Elizabeth odwróciła się do córki. – Prawda, kochanie?

Wendy skinęła głową.

– Mamo, Wendy teraz maluje. Nie możesz jej przeszkadzać – odezwała się.

Culley patrzył na Elizabeth. Zastanawiał się, skąd brał się ten dziwny niepokój pojawiający się wtedy, gdy był blisko niej. Dotychczas nigdy mu się to nie zdarzyło. Ona po prostu nie była dla niego obcą osobą – miał wrażenie, że znają od lat.

Wendy pokazała mu swoje dzieło. Zerknął na zamalowaną kartkę i mrugnął do Elizabeth porozumiewawczo.

– To chyba miał być jakiś rycerz? Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Ona lubi postacie z tego serialu.

– Czy to są odpowiedni bohaterowie dla dwuletniej dziewczynki? To znaczy... Sądzi pani, że Wendy powinna znać te wszystkie filmy? Przecież jest w nich tyle przemocy...

– Ona jeszcze tego nie rozumie, a zresztą, nawet w bajkach na „dobranoc” widzi czasem gorsze rzeczy – uśmiechnęła się. – Ja też uwielbiam tych wszystkich rycerzy i rzeźmieszków.

– Naprawdę?

– O, tak. Czasami nie mogę doczekać się nowych odcinków. Oni są... kimś pośrednim między Rolandem a Supermanem... Rozumie pan, co mam na myśli? Jest w nich coś, co przypomina mi naszych dziecięcych bohaterów. Założę się, że ktoś, kto tworzy takie postacie, jest niezwykle romantyczną osobą...

Culley mruknął coś niewyraźnie i usiadł obok Wendy na podłodze.

– Tata będzie kolorować razem z Wendy!

– Wendy – Elizabeth starała się po raz kolejny zatuszować niezręczną sytuację – doktor Ward nie może się teraz z tobą bawić. Jest zajęty, kochanie. Poza tym czas na śniadanie, sok pomarańczowy już na ciebie czeka. Chodź, proszę, i usiądź przy stole.

– Chodź, Wendy, zjemy razem śniadanie – powiedział Culley, a mała bez słowa sprzeciwu zostawiła kredki i wdrapała się na krzesło.

Elizabeth zerknęła na niego. Wystarczył mu moment, żeby zauważyć rumieńce na jej policzkach.

– Doktorze Ward, przykro mi z powodu tego całego zamieszania...

– Ależ nie ma o czym mówić. Zapomnijmy o tym, dobrze? To przecież nie pani wina.

– Ale ja... To znaczy, Wendy i ja... Ja w ogóle nie wiem, jak to się stało, że wtedy zasnąłam. Ja nigdy... Postaram się wszystko naprawić. Tak mi przykro...

– Nie ma sprawy. – Machnął niedbale ręką. – Najważniejsze, że znalazłem sobie inne miejsce do spania.

– Wypiorę całą pościel, ale obawiam się, że narzuty trzeba będzie oddać do pralni. Pokryję wszystkie koszty.

– Dlaczego? To przecież nie pani ułożyła kociaki w moim łóżku. – Culley śmiejąc się

spojrzał na Wendy. Jej buzia promieniowała wyraźną radością.

– Chcesz sok, tato? Jest pyszny.

Elizabeth była naprawdę rozdrażniona. Znowu próbowała ratować sytuację.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ona ciągle pana tak nazywa. Staralam się jej to wytłumaczyć, ale jakoś bez skutku. Miała niespełna rok, kiedy umarł jej ojciec, i chyba dlatego nie potrafi niczego zrozumieć. Myśl, że każdy spotkany mężczyzna jest jej tatą. Doktorze Ward, ja...

– Proszę mówić do mnie Culley. Elizabeth otworzyła usta, zupełnie zaskoczona.

– My... Powinnyśmy już pójść sobie... Czekałam na pana, bo nie chciałam odjechać bez pożegnania. Dziękuję za wszystko i przepraszam za kłopoty.

Culley wziął głęboki oddech. Ona niczego nie rozumiała. A zresztą, dlaczego miałyby rozumieć? Kosztowało go trochę wysiłku, zanim ukrył emocje, które Elizabeth nieświadomie w nim wzbudzała. Po chwili doszedł do siebie i postanowił spróbować jeszcze raz.

– Dlaczego nie miałabyś nazywać mnie Culley? Przecież to mogłoby nam pomóc. – Starał się, by jego głos brzmiał naturalnie. – Wszyscy mnie tak nazywają. Chyba łatwiej by się nam pracowało, gdybyś przyzwyczaiła się do tego imienia.

Przez chwilę panowała cisza. Elizabeth starała się uporządkować myśli.

– Ja chyba nie rozumiem, o co panu chodzi. Czy to znaczy, że chce mnie pan zatrudnić?

Culley skinął głową. Wiedział, że podjął właściwą decyzję.

– Chyba nadal zależy ci na tej pracy, Elizabeth. Zresztą tu chodzi tylko o pracę do czasu powrotu mojej matki.

– Tak, rozumiem – odpowiedziała szybko. Culley zauważył, że jej dłonie nerwowo szukają jakiegoś zajęcia. To zachowanie wzbudziło jego ciekawość. – Kiedy chciałbyś, żebym rozpoczęła pracę?

– Im szybciej, tym lepiej.

– Dobrze. Muszę tylko pojechać do domu i...

– Rozumiem, w porządku. A zatem, może od jutra?

– Ależ nie, wrócę jeszcze dziś, dobrze?

– Świetnie. Jeśli nie będzie mnie w domu... Zaczekaj chwilę, mam tu gdzieś zapasowe klucze.

Znowu czuł, że jest zdenerwowany. „W końcu – pomyślał – nigdy wcześniej nie zatrudniałem gospodyni... „ Nie pytał o żadne referencje, nie starał się dowiedzieć, gdzie pracowała poprzednio. To wszystko było nieistotne. Miał wrażenie, że znają od lat. A poza tym był pewny, że matka, występując z taką inicjatywą, musiała zatroszczyć się o wszystkie szczegóły.

Wreszcie udało mu się odnaleźć dodatkowy klucz. Kiedy wręczał go Elizabeth, jej palce lekko drżały. Była trochę zakłopotana całą tą rozmową. Z trudem zdobyła się na ciche wypowiedzenie słowa podziękowania.

– Dziękuję. Obiecuję, że nie będzie pan tego żałował. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wzruszył tylko ramionami.

– To chyba wszystko? Sama zadecyduj, który pokój będzie wam najbardziej odpowiadał

– Pozostawiam to tobie. Masz jakieś pytania?

Elizabeth przecząco potrząsnęła głową.

– W takim razie na mnie już czas. – Culley miał już wyjść, gdy nagle sobie coś przypomniał. – Czy z Prissy wszystko w porządku?

– Oczywiście. Wypuściłam ją do ogrodu, czy... ?

– Ona chodzi swoimi ścieżkami, nie musisz się o nią martwić. Wystarczy, że zostawię otwarte drzwi do mojej sypialni. A zatem, do zobaczenia wieczorem, – Do widzenia, tato! – zawołała wesoło Wendy.

Culley zamknął drzwi. Czuł, że Wendy powoli zdobywa jego serce. „To dziecko przyniosło ze sobą prawdziwą radość do tego domu pomyślał – może tego najbardziej mi potrzeba?”

– Dokąd poszedł tatuś? – Wendy podniosła główkę znad swoich rysunków.

– Do pracy, kochanie – odpowiedziała Elizabeth, wpatrując się w zamknięte drzwi.

– Dlaczego?

– Tak po prostu musi być, córeczko. – Niewiele brakowało, by powiedziała, że wszyscy ojcowie tak robią.

Niezależnie od tego, jaki był stosunek Wendy do Culleya, Elizabeth czuła, że zachwyt córki może być zaraźliwy i niebezpieczny jednocześnie. Pozostawała jej tylko nadzieja, iż z czasem Wendy zrozumie, jaka jest różnica między „panem” a „tata”. Zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo dziecku brakuje prawdziwego ojca, ale zarazem bała się, że Culley może stać się dla niej samej kimś więcej niż tylko pracodawcą. Był przecież bardzo atrakcyjnym mężczyzną, a teraz ich osobiste kontakty będą wręcz nieuniknione. Miała pracować, sprzątać, gotować, robić właściwie wszystko to, co zwykle jest obowiązkiem żony. Wszystko z wyjątkiem jednego...

– Co się stało, mamo?

– Nic, kochanie. – Elizabeth starała się zebrać myśli.

– Mamo, słyszysz? Ktoś jest na korytarzu.

– Zaraz zobaczę. Poczekaj tu, za chwilę wrócę. Elizabeth wyszła z kuchni. Culley stał na schodach.

Wyglądało na to, że czegoś zapomniał.

– Usłyszałam jakieś odgłosy – powiedziała. – Myślałam, że to ktoś inny. Przepraszam.

– Ależ nie, wszystko w porządku. Chciałem tylko... zapytać, czy niczego nie potrzebujesz.

– Dziękuję, na razie nie.

– Aha. W takim razie, do widzenia.

Elizabeth wróciła do kuchni. Z trudem udało się jej powstrzymać śmiech, kiedy zrozumiała, że jej pracodawca, światowej sławy naukowiec i przyszły zdobywca Nagrody Nobla, zjeżdżał na dół po poręczy schodów.

Wendy nie chciała opuścić domu doktora Warda. Polubiła to miejsce. Mogłaby tu

godzinami leżeć na brzuchu, kolorować swoje obrazki i przysłuchiwać się mamie – uwielbiała pomagać przy codziennych zajęciach w kuchni. Podobały się jej olbrzymie schody, duże drzwi i wspaniałe łóżko, w którym spały. Zdażyła już zaprzyjaźnić się z kociętami, które tak miło łaskotały jej policzki. Właśnie miała pójść na górę, żeby jeszcze raz pobawić się z Prissy, gdy Elizabeth zdecydowała, że już czas ruszać w drogę do domu dziadków.

Wendy wcale nie miała ochoty wracać. Próbowwała wytłumaczyć mamie, że wolałaby zostać tu, z doktorem Wardem i z kociętami, ale nie przyniosło to żadnych rezultatów. Elizabeth kazała jej wsiadać do samochodu. Po chwili siedziała już przypięta pasem na swoim miejscu. Zrozumiała, że w takiej sytuacji nic się nie zmieni.

– Wendy, kochanie, bądź miłą dziewczynką. Chyba nie chcesz, żeby doktor Ward pomyślał, że jesteś źle wychowana?

Mała zamyśliła się. Doktor Ward to ten miły pan, który na pewno jest jej tatą. Jest bardzo wysoki, wyższy od mamy, ślicznie się uśmiecha i rozmawia z mamą o takich ciekawych rzeczach.

– Dobrze, mamó. Wendy będzie siedzieć spokojnie, ale wcale nie chce jechać...

– Córeczko, przecież wyjeżdżamy na krótko. Obiecuję ci, że niedługo tu wrócimy, musimy tylko zabrać nasze rzeczy od dziadków. Jak tu zamieszkamy, będziesz mogła bawić się z kotkami, kiedy tylko zechcesz. Dobrze?

– Dobrze, mamó.

Elizabeth włączyła silnik samochodu, ale nie ruszała z miejsca. Siedziała przez chwilę w milczeniu, potem zamknęła oczy i szepnęła sama do siebie:

– Boże, wreszcie mi się udało... Wendy przyglądała się jej uważnie.

– Dlaczego jesteś smutna, mamusiu? Elizabeth uśmiechnęła się.

– Ależ nie, kochanie, wszystko jest w porządku. Nie jestem smutna. Wręcz przeciwnie, już dawno nie byłam taka szczęśliwa. Cieszę się, że mam swoją małą dziewczynkę, którą bardzo kocham i z którą zamieszkam w tym wspaniałym domu, gdzie będzie mogła śmiać się i bawić z kotkami.

– I z tatą – dodała Wendy poważnie.

Samochód ruszył. Dziewczynka obserwowała znikający w oddali dom, szepcząc cichutko:

– Do zobaczenia, domku. Do zobaczenia, kotki, do zobaczenia, tato.

Po chwili przypomniała sobie, że wraca do dziadków, i jej dobry nastrój minął. Nie lubiła domu babci. Owszem, było tam dużo ładnych rzeczy, ale ona niczego nie mogła dotknąć. Dookoła domu był ogromny ogród, niestety nie było w nim drzew, tylko basen i wycementowany plac. Plac świetnie nadawał się do jazdy na rowerze, lecz babcia zabraniała jej wychodzić samej. Nie mogła też jeździć po mieszkaniu – babcia nie znosiła żadnych hałasów, bo od nich ciągle bolała ją głowa.

Nie lubiła swojej babci. Wiedziała, że tak nie powinno być, bo przecież babcia na pewno ją kocha, ale nic nie mogła na to poradzić. Ciągle pamiętała jej szorstki głos, zupełnie inny niż głos mamy. Najbardziej nie lubiła, kiedy babcia próbowała ją do siebie przytulać. To wcale nie było miłe. Zauważyła też, że w obecności babci mama stawała się zupełnie inna. Jej głos

brzmiał wtedy obco i Wendy zaczynała się bać.

Spojrzała na matkę, a potem przykleiła nos do szyby. Obserwowała drzewa palmowe i ogromne budynki stojące wzdłuż drogi. Starła się nie myśleć o babci. Miała nadzieję, że dziadek Carl będzie w domu, bo wtedy nie byłoby tak źle. Dziadek jest fajny i ma taki miły głos... No, może nie tak miły jak tata, ale zawsze... Znowu pomyślała o panu, którego mama nazywa „doktorem Wardem” i zaraz zapomniała o babci, – Maggie, proszę tego nie robić. Przecież nie zabieram Wendy na koniec świata. Nie o to chodzi...

– Cóż, domyślam się, na co jeszcze miałabyś ochotę. Wendy chwyciła Elizabeth za rękę.

– Mamo, chodź...

– Za chwilę, córeczko. zrozum mnie, Maggie, to tylko pół godziny drogi stąd. Zawsze będziesz mogła...

– Przestań się oszukiwać, Elizabeth. Myślisz, że ja niczego nie rozumiem? Przecież to jest Los Angeles! Chcesz zamieszkać z dzieckiem w samym centrum tego ogromnego miasta?

– To nie jest w samym centrum. – Elizabeth zacisnęła usta. I tak powiedziała już więcej, niż chciała. – To bardzo ładna stara rezydencja.

– Mamo, chce mi się siusiu!

– Wendy, kochanie, przecież możesz pójść sama do łazienki. Mama teraz rozmawia z babcią.

– Ja już nic nie rozumiem. – Margaret Resnick uniosła ręce, żeby jej słowa zabrzmiały bardziej dramatycznie. – Jak możesz nas zostawić, i to bez żadnego uprzedzenia? Wiesz przecież, jak bardzo kochamy ciebie i Wendy. To dziecko jest dla nas najważniejsze. Nie pojmuję, że po tym wszystkim, co zrobiliśmy dla ciebie, ty przyszykowałaś nam taką niespodziankę!

– Nie, mamo, sama nie potrafię. – Wendy nie dawała za wygraną.

Elizabeth spojrzała na nią wzrokiem nie znoszącym sprzeciwu.

– To chyba nie powinno być dla was żadnym zaskoczeniem. Przypomnij sobie, co powiedziałam, kiedy się tu wprowadziłam. To miało być tylko do chwili znalezienia pracy i mieszkania. Przecież minął już rok od czasu, kiedy...

– Carl, powiedz coś – przerwała jej Margaret, zanim zdążyła wspomnieć o Kevinie i wypadku. – Masz zamiar pozwolić jej na wyjazd z naszą małą dziewczynką?

To było typowe zachowanie Margaret. Kiedy zawodziły wszystkie sposoby, sięgała po najcięższą broń: Carla – jako ostateczną wyrocznię.

– Maggie, czy ty przypadkiem nie przesadzasz? Wendy nie jest naszą dziewczynką. Ona jest przede wszystkim córką Elizabeth.

Do tej pory Carl Resnick stał przy kominku, palił fajkę i mogło się wydawać, że cała ta rozmowa niewiele go interesuje. Elizabeth wiedziała jednak, że to tylko pozory. Była pewna, iż dokładnie wszystkiego wysłuchał i przygotował odpowiednią taktykę. Teraz przemierzał wolno pokój, obserwując je uważnie. Był bardzo skupiony.

– ... i naszego syna, oczywiście.

– Mamo, ja muszę siusiu. – Wendy była bliska płaczu.

– Elizabeth, kochanie, my po prostu bardzo troszczymy się o naszą jedyną wnuczkę.

Pragniemy jej szczęścia i bezpieczeństwa. Wiesz dobrze, że jeśli czegoś potrzebujecie, wystarczy, żebyście nam o tym powiedziały.

– Ja wiem, to... bardzo miłe z waszej strony, ale... Elizabeth z trudem wypowiadała każde kolejne słowo.

Zresztą, czy potrafiłaby im wytłumaczyć, że musi rozpocząć inne, nowe życie?

– Jestem odpowiedzialna za Wendy i myślę... że już czas, żebym... – głos Elizabeth załamał się.

– Twoje intencje są słuszne i godne szacunku. Naprawdę, podziwiam cię za to. Jestem pewny, że przemyślałaś tę decyzję.

– Tak – odpowiedziała zdecydowanie. – Oczywiście, że przemyślałam.

– Na przykład – Carl cedził teraz każde słowo – zakładam, że przyjmując pracę, ubezpieczyłaś się...

Elizabeth nie mogła zrozumieć, o co chodzi.

– Ubezpieczyłam się?

– Ależ oczywiście, moja droga. Do tej pory korzystałyście z mojej polisy, ale w tej sytuacji wydaje mi się to już niemożliwe. Przecież nawet nie wiem, gdzie będziecie mieszkać.

Nastąpiła cisza. Tylko Wendy kręciła się niespokojnie, ale Elizabeth nie zwracała na nią uwagi. „Dlaczego – myślała – Carl Resnick zawsze doprowadza do sytuacji, w której chce pokazać wszem i wobec, że tylko on ma rację?”

– Zajmę się tym – powiedziała krótko.

– Jestem pewny, że to zrobisz. A teraz ten człowiek, doktor Ward... Chciałbym mieć o nim więcej informacji.

– Carl – wtrąciła się Margaret – czy ty nie widzisz, że ona nie da nam nawet jego adresu? I to po tym wszystkim, co dla niej zrobiliśmy...

– Elizabeth, wydaje mi się, że postępujesz trochę nieodpowiedzialnie. Przecież to zrozumiałe, że zanim pozwolę ci zabrać Wendy, muszę dokładnie sprawdzić tego człowieka. Chcę znać jego adres, miejsce pracy...

W tym momencie, gdy Elizabeth starała się przezwyciężyć narastające zdenerwowanie, Wendy nie wytrzymała. Kucnęła przy kominku i tam wreszcie zrobiła siusiu.

Culley podniósł słuchawkę.

– Cześć, mam! Co za niespodzianka!

– Nie wygłupiaj się, przecież wiedziałeś, że zadzwonię.

– Gdzie teraz jesteś? Połączenie jest fatalne. Słyszę tylko jakąś dziwną muzykę.

– To Cabo San Lucas. Dzwonię, żeby się dowiedzieć...

– Jak się czujesz? Mam nadzieję, że nie dostałaś choroby morskiej? Podobno pogoda...

– Gregory, przestań się ze mną drażnić. Doskonale wiesz, po co dzwonię. Chcę wiedzieć, co o niej myślisz.

– O kim?

– O Elizabeth, oczywiście. Zatrudniłeś ją?

– Ach tak, ta nowa pomoc domowa. Tak, jeśli o to chodzi, to dałem jej pracę. Z zastrzeżeniem, że tylko do momentu twojego powrotu.

– W porządku. I jak sobie radzi?

– Mówiąc szczerze, to jeszcze nie wiem. Wprowadziła się dopiero dzisiaj. Nawet nie wiem, czy dobrze gotuje. Jak na razie zrobiła mi kanapki na kolację.

– Co? Gregory, bardzo kiepsko cię słyszę. Mów głośniej. Albo nie, tylko posłuchaj. Lepiej będzie, jeśli nie określisz dokładnie, do kiedy ma u nas pracować. Być może wrócę później, niż to planowaliśmy. Tahiti jest cudownym miejscem. Wiesz, że zawsze chciałam tu przyjechać, a więc teraz, kiedy masz zapewnioną opiekę, mogłabym pomyśleć o dłuższym pobycie.

– W porządku, mamó. Baw się dobrze. Czy możesz w przybliżeniu określić termin powrotu?

– Och, nie wiem. Myślałam, że skoro będę już tak niedaleko, to odwiedzę Australię, Nową Zelandię... Kto wie? Być może Singapur... Gregory, muszę już kończyć, ktoś tu na mnie czeka. Cieszę się, że z Elizabeth wszystko dobrze się układa. Pozdrów ją ode mnie. I ucałuj jej cudowną córeczkę; to wspaniałe dziecko. Do zobaczenia, kochanie. Uważaj na siebie.

Culley odłożył słuchawkę. Nie wierzył własnym uszom. Nowa Zelandia? Singapur? Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony był zachwycony, że matka ma nowe zainteresowania i interesująco spędza czas; z całego serca życzył jej wspaniałych wrażeń. Z drugiej – dwie obce osoby żyjące z nim pod jednym dachem wzbudzały pewien niepokój, szczególnie że jedna z nich była rudowłosą pięknoscią.

Przypomniawszy sobie dzisiejszy wieczór. Pracował dłużej niż zwykle, a potem wrócił do domu. W kuchni czekały na niego kanapki i informacja: „Mam nadzieję, że lubisz tuńczyka. Tylko to mogłam dziś znaleźć. Jutro zrobię porządne zakupy. Jeśli czegoś potrzebujesz, zostaw kartkę. Elizabeth. P. S. Zajęliśmy ostatnie dwa pokoje po zachodniej stronie. Mam nadzieję, że to ci odpowiada”.

Zjadł kanapki, potem poszedł na górę do pracowni. Kartkę zabrał ze sobą. Wchodząc po schodach, zatrzymał się na chwilę. Spojrzał w głąb holu. W końcu korytarza widać było światło padające zza uchylonych drzwi. Słyszał głos dziecka, potem cichy słodki śpiew. Łatwo rozpoznał melodię. Stał tak przez kilka minut, zastanawiając się, czy nie powinien pójść do nich i powiedzieć dobranoc. W końcu poszedł na strych. Włączył drukarkę, ale zamiast zajmować się księżniczką Kerissą, włożył nową dyskietkę i napisał: „Lista zakupów”. Pomyślał chwilę i za – j. „, pisał: „mleko”, zaraz jednak wymazał tę pozycję. Przecież Elizabeth sama potrafi zadbać o swoje dziecko i nie potrzebuje, żeby jej ktoś przypominał o podstawowych sprawach.

Usiadł wygodnie w fotelu. Wokół było bardzo cicho. Tego właśnie potrzebował koniecznie do pracy. „Do diabła – pomyślał po chwili – tu jest za cicho. „ Wyłączył komputer, zamknął pracownię na klucz i zszedł na dół. Zatrzymał się przy drzwiach sypialni, po czym wszedł do pokoju i zaczął się rozbierać. Nie potrzebował zapalać lampy. Księżyc i gwiazdy dawały wystarczająco dużo światła, a poza tym znalazł dokładnie wszystkie szczegóły tego miejsca. Okulary i zegarek położył na szafce nocnej, buty rzucił na podłogę, koszulę i spodnie zostawił na krześle. Już miał wyjść nagi do łazienki, jak to robił zazwyczaj, kiedy

przypomni  sobie, ze teraz sytuacja si  zmienia. Nie by  sam w tym olbrzymim domu. Założył czarne jedwabne kimono, które Shannon kupiła mu w czasie ich miodowego miesiąca. Przeszedł przez hol i już miał wchodzić do łazienki, kiedy nagle usłyszał jakieś odgłosy.

Rozdział czwarty

Spotkali się w wejściu. Elizabeth właśnie wychodziła, gasząc światło. Para i delikatna woń wydobywały się z wnętrza łazienki, nasuwając myśl o tropikalnych nocach, ogrodach pełnych kwiatów i powietrzu drażniącym zmysły swym ciepłem.

– Ja... Nie sądziłam, że możesz tu być...

Miała na sobie ciemny szlafrok, jej włosy owinięte były ręcznikiem. Delikatny owal twarzy, smukła szyja... Jej skóra jaśniała jak alabaster w świetle księżycy.

– Nic nie szkodzi – wykrztusił Culley, patrząc na cienie rzęs na jej policzkach.

– Nie, powinnam zapytać, ale... Prysznic w drugiej łazience jest chyba zepsuty. Pracowałeś, a ja nie chciałam ci przeszkadzać.

– Naprawdę nic nie szkodzi.

W tej chwili myślał tylko o tym, że w jakiś dziwny sposób ciepło jej ciała przenika przez cienki materiał jego kimona i działa na niego jak pieszczota.

– Chyba już pójdę. Dobranoc.

– Dobranoc – odrzekł w pustą ciemność.

W tej chwili jego mózg przypominał kalejdoskop, mozaikę bladych wspomnień i nowych marzeń, niemożliwych do spełnienia.

Rozzłościł się sam na siebie. Elizabeth była gospodynią. Jego pracownikiem, Mieszkała w jego domu, była więc niejako pod jego opieką. Na pewno matka opisała go jako człowieka odpowiedzialnego, ogólnie szanowanego i godnego zaufania, toteż Elizabeth zaufała mu. Przyszło mu do głowy, że gdyby obie kobiety mogły odczytać jego myśli, to Elizabeth najprawdopodobniej spakowałyby swoje walizki, a matka wróciła do Los Angeles pierwszym samolotem.

„Powinienem być ostrożniejszy – pomyślał – a przede wszystkim unikać spotkań z nią. „Jutro trzeba będzie koniecznie sprawdzić, co z prysznicem. Przynajmniej nie będą wpadać na siebie w łazience. Jeśli musiałby się golić w łazience pachnącej jej obecnością, to zaciąłby się na pewno. Tak, nie będzie mu łatwo przebywać przez ten cały czas w towarzystwie pięknej, atrakcyjnej i pociągającej kobiety.

Wrócił do pokoju, zapalił światło, żeby zanotować naprawę prysznicza. Grzebał właśnie wśród ubrań, poszukując pióra i jakiejś kartki, gdy usłyszał cichy szelest... Może słabe westchnienie? Obrócił się i zamarł.

Naprzeciw niego stała Elizabeth, weszła do pokoju bez pukania. Była bardzo blada, wyglądała na przestraszoną. Sploty rudych włosów wiły się na jej ramionach.

– Nie mogę znaleźć Wendy – powiedziała, oddychając ciężko. – Ona nie... Och!

Zbliżyła się do Culleya. Stali przez chwilę razem, patrząc na łóżko i małą dziewczynkę śpiącą na środku.

Miała na sobie żółtą pizamkę, prawie w takim samym odcieniu jak jej włosy, rozsypujące się jak promienie słońca na tle ciemnego pledu. Usta koloru pączków róż... zaczerwienione policzki, rozrzucone ramiona... Uosobienie niewinności. Culley jeszcze nigdy w życiu nie

widział nic równie pięknego. Spojrzał na Elizabeth. Wyraz jej twarzy zaparł mu dech w piersiach.

Elizabeth westchnęła.

– To chyba stanie się już zwyczajem – zauważył Culley ochryłym głosem.

– Chciała powiedzieć kotom „dobranoc”. Mówiłam jej, że nie wolno, bo... – Spojrzała mu błagalnie w oczy, po chwili opuściła wzrok na jego kimono. Ręka Culleya powędrowała w miejsce, które tak zwróciło jej uwagę, i natknęła się na fragment odsłoniętej piersi.

– Nic nie szkodzi.

– Doktorze Ward, to się nigdy nie powtórzy, obiecuję. Wiem, że Wendy nie powinna...

Culley dotknął jej ramienia i przysunął ją do siebie. Spojrzał głęboko w oczy – były szare jak deszczowe niebo. Zauważył oznaki wyczerpania na jej twarzy i słabe drżenie ust. Poczł dziwny ciężar w piersiach.

– Moja matka powiedziała ci pewnie o mnie wszystko? – rzekł cicho.

Zmieszła się, ale mimo to kontynuowali temat, jakby był ostatnią deską ratunku.

– ... pewnie powiedziała ci, że jestem bliskim krewnym doktora Frankensteina, prawda?

Nie wiedziała, czy uśmiechnąć się, czy zachować powagę. Culley położył ręce na jej ramionach, z trudnością opierając się pokusie dotknięcia jej nagiej szyi.

– Powiedziała ci pewnie o pokoju na poddaszu, gdzie przeprowadzam te wszystkie szkaradne eksperymenty... I o tym, że trzymam w piwnicy nieostrożnych gości i używam części ich ciał do swoich badań?

– Nic nie mówiła.

– Nie? – zdziwił się, po chwili zapytał cicho; – Więc dlaczego traktujesz mnie jak jakiegoś potwora?

Przygryzła wargi.

– Wcale nie uważam, że jesteś potworem. Ale... – Jej wzrok powędrował znów w dół, na jego kimono. – Jesteś moim pracodawcą – oświadczyła z prostotą.

Culley zsunął ręce z jej ramion. Odwróciła się w kierunku łóżka, ale był szybszy.

– Ja ją wezmę. – Ostrożnie podniósł kociaki i dał je Elizabeth, a sam wziął śpiące dziecko w ramiona. Mała westchnęła i mamrocząc coś niewyraźnie, przytuliła się do jego piersi.

– Dokąd? – zapytał szeptem. Wiotkie jedwabiste włosy Wendy poruszyły się od jego oddechu.

– Tędy. – Rzuciła mu szybkie, niepewne spojrzenie, po czym ruszyła w kierunku drzwi. Była boso, w ciemnoniebieskim szlafroku. Poruszała się nieśmiało, w żadnym razie nie prowokująco. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili.

W sypialni Elizabeth wyrównała pościel, odrzuciła kołdrę i stanęła obok łóżka Wendy. Położył śpiące dziecko tak delikatnie i ostrożnie, jak tylko potrafił. Mała natychmiast zwinęła się w kłębek, posapując cicho. Poprawił jej poduszkę.

Nie wiedząc, co może jeszcze zrobić, skierował się w stronę wyjścia. W połowie drogi odwrócił się, zobaczył Elizabeth pochyloną nad dziewczynką z łagodną czułością i matczynym oddaniem malującym się na twarzy. W świetle księżyca nie można było rozróżnić kolorów, wszystko nabrało tonacji szarości i indygo. Ten obrazek był jak czarnobiała

fotografia, piękna sama w sobie, bez zbędnych dodatków.

Uczucia, jakich doznawał, a jakich nie potrafił nazwać, sprawiły, że wyszedł po cichu z pokoju.

W trzecim dniu pobytu na nowym miejscu Elizabeth odkryła bibliotekę. Mieściła się z tyłu domu obok salonu.

Stała właśnie przed drzwiami, pełna obaw, czy może naruszyć granicę prywatności swojego pracodawcy. Ale doktor Ward – Culley – nie zabraniał jej wchodzenia gdziekolwiek, z wyjątkiem pracowni na poddaszu. Pracownia była zamknięta cały czas, nie wolno było jej tam nawet sprzątać.

Chociaż ciemny i zakurzony, pokój biblioteczny zrobił na niej przyjemne wrażenie. W tej bibliotece książki były czytane, wiele z nich kilkakrotnie. Zapragnęła poznać je bliżej. Pociągając ręką po sfatygowanych nieco grzbietach, przechyliła na bok głowę, by odczytać tytuły. Tak, to są książki doktora Warda... Mogły jej o nim dużo powiedzieć. Znała stare sprawdzone porzekadło: „Powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś”.

Jej ciekawość poznawania jego osoby była ogromna. Stwierdziła, że właściwie nie wie o nim nic, pomijawszy informacje podane przez jego matkę o tym, że żona jej syna zmarła pięć lat temu, a on po jej śmierci zamknął się w sobie. Tylko jednego była pewna: gdyby nawet orientowała się w jego pracy i tak nie potrafiłaby tego zrozumieć.

Zawartość jego biblioteki mile ją zaskoczyła. Znalazła tu wielu swoich ulubionych autorów – Milne’a, White’a, Wodehouse’a, Twaina, a między nimi także dzieła Szekspira i Kiplinga. Trochę zdziwił ją fakt, że człowiek o jego intelekcie czytywał książkę o Kubusiu Puchatku.

Zdumiewające, jak trudno było jej myśleć o nim jako o „doktorze Wardzie” – wydawał się wtedy wyniosły, surowy, nawet stanowczy. W rzeczywistości taki nie był. Wciąż miała w pamięci jego rozbijającą bezradność wobec niespodziewanych narodzin kotów i wzruszający sposób, w jaki zachował się tamtego wieczora. Dokładnie pamiętała także następny rano, kiedy rozczulił ją swoim zachowaniem, zupełnie nie pasującym do swego poważnego wizerunku. No i oczywiście tamten wieczór, gdy znaleźli się niedaleko siebie w wąskim wejściu do łazienki. Zapamiętała potargane włosy, cienkie, niedbale związane kimono, uwydatniające zarys jego ciała, i spojrzenie – wcale nie surowe ani wyniosłe, tylko czułe i pytające.

Jednak od tamtego czasu unikał jej. Może tak było lepiej? Powiedziała wtedy, że jest jej pracodawcą. Tak, dał jej pracę i mieszkanie. Przypuszczała, że zrobił to wbrew swojej woli, jedynie na prośbę matki. Ta kobieta zaufała jej, więc on postąpił tak samo.

Elizabeth wolała zakończyć te nieco denerwujące dociekania i włączyła odkurzacz do kontaktu. „Teraz powinnam łatwiej utrzymać fantazję na wodzy” – pomyślała. Pudełko z kotami zostało przeniesione do kuchni i Culley mógł zamykać swoją sypialnię. Dzięki Bogu, Wendy nie potrafiła jeszcze otwierać drzwi z tymi masywnymi staroświeckimi klamkami. Często w środku nocy zdarzało jej się przywędrować do sypialni matki i wdrapać się do jej łóżka. – Elizabeth tępiła ten zwyczaj zaciekle, jednak bezskutecznie. Przynajmniej teraz Wendy zmuszona była do zmiany swoich przyzwyczajeń.

Elizabeth zadbała także o to, aby nie było już żadnych problemów z łazienką. Następnego dnia kupiła odpowiednie części i przy pomocy narzędzi, które znalazła w garażu, naprawiła prysznic.

Spojrzała na zegarek: było wcześnie. Wendy powinna jeszcze spać. Sięgnęła do kieszeni i nałożyła słuchawki walkmana. Chwilę później przy radosnych dźwiękach utworów zespołu „Proud Mary” z entuzjazmem zaatakowała pajęczyny nad regałem.

Tymczasem Wendy śniła cudowny sen o kotkach. O kotkach – ale nie o małych, śliskich, wijących się kocich kielbaskach, lecz o grubych puszystych kłębkach, podobnych do tych, które widziała kiedyś w telewizji. Ona sama śmiała się i biegała w kółko, próbując któregoś złapać. W końcu przyszedł tatuś i podniósł ją do góry. Swoją długą ręką złapał jednego kotka i podał jej. Zadowolona tuliła go do siebie – kotek miauknął bardzo głośno i nagle... obudziła się.

Usiadła na łóżku i przetarła oczy. Wielki czarny kot znajdował się tuż obok i przyglądał się jej badawczo.

– Cześć, kotku! – powiedziała Wendy, wyciągając do niego rękę. Kot zamruczał i zeskoczył z łóżka. Wendy zrobiła to samo i ciągnąc za sobą pled, zbliżyła się do niego. Kiedy spróbowała go złapać, kot wyśliznął się z jej rąk i wybiegł z pokoju.

– Kotku, wracaj! – zawołała i pobiegła za nim. Przebiegł przez korytarz i wspinał się po schodach.

Wendy nie wolno było wchodzić na górę, ale w tej chwili nie myślała o mamie i zakazach, bowiem bardzo chciała go pogłaskać.

Kot, widząc biegnące za sobą dziecko, położył uszy po sobie i zniknął za niskimi drzwiami. Tam też nie mogła wchodzić i tym razem przypomniały się jej słowa mamy. Zawahała się, wsunęła tylko głowę przez drzwi i zawołała:

– Chodź tu, miły kotku, chodź tu!

Nagle zauważyła coś, co sprawiło, że w jednej chwili zapomniała o mamie, jej przestroгах, a nawet o ogromnym czarnym kocie.

– Zabawki! – krzyknęła i weszła do środka.

Elizabeth siedziała po turecku na podłodze obok wyłączonego odkurzacza. Ze słuchawkami na szyi wertowała „Tajemniczy ogród”.

Nagle usłyszała bicie zegara w salonie. Spojrzała na zegarek. „O Boże – pomyślała – czwarta. Wendy nigdy nie śpi tak długo. Pewnie już dawno wstała. „Podniosła się, rzucając książkę i walkmana na dywan, i ruszyła biegiem w stronę schodów. „Na pewno wszystko jest w porządku” – mówiła sobie, ale jej matczyzna intuicja podpowiadała coś innego.

W całym domu było cicho, za cicho. Drzwi do pokoju Wendy stały otworem. Zajrzała do środka: łóżko było puste, tak jak się obawiała, a pled leżał na podłodze. „Nic się nie stało – przekonywała sobie – po prostu gdzieś się schowała.”

– Wendy? – zawołała, zaglądając pod łóżko i za zasłony. Poszła do swojego pokoju, pobieżnie przeszukała go i stanęła w miejscu, podnosząc rękę do czoła i próbując nie ulegać panice. Gdzież mogła się podziać? Chyba nie wyszła sama na dwór?

Zaczęła zbiegać na dół, a serce biło jej tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Gdy była

już w połowie drogi, usłyszała jakiś hałas. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Odgłos się powtórzył.

– Wendy?

– Mamo jestem tutaj. – Odpowiedź dotarła do niej gdzieś z góry.

– Och, dzięki Bogu! – wyszeptała z ulgą Elizabeth. – Wendy, gdzie jesteś, kochanie?

– Tutaj!

– Wendy, nie widzę cię. Możesz powiedzieć, gdzie jesteś? – Zaczęła wspinać się do góry.

– Weszłam po schodach.

Z całej reszty słów, które miała wypowiadała w sobie tylko zrozumiałym języku, Elizabeth wyłapała tylko jedno: „kotek”.

Była już na poddaszu i rozglądała się ze strachem i niedowierzaniem.

– Wendy, czy jesteś na górze? Boże, to chyba niemożliwe – szepnęła do siebie.

– Tak – potwierdziła uszczęśliwiona Wendy – właśnie tu jestem.

Nie do wiary, miała być w pracowni doktora Warda! Jak się tam dostała? Może zapomniał zamknąć drzwi? Nie, były zamknięte. I co teraz?

– Wendy, co ty tam robisz?

– Bawię się zabawkami. Zabawkami? Co takiego może znajdować się w pracowni fizyka, że dwuletnie dziecko mówi o zabawkach? Możliwości, które przysły Elizabeth do głowy, były gorsze od najstraszliwszego snu. Przysunęła głowę do drzwi i zapytała:

– Wendy, kochanie, jak tam weszłaś?

Z potoku słów, które padły w odpowiedzi, Elizabeth wyłowiła tylko jedno: „kot”. Nagle doznała olśnienia. Drzwi dla kotów. Znajdowały się tuż obok – Wendy weszła tam drzwiami dla kotów!

– Wendy – mówiła cierpliwie – trzeba wracać. Już pora na obiad. Możesz przejść z powrotem przez te małe drzwi?

– Nie – odparła rezolutnie. – Bawię się zabawkami. Elizabeth wypowiadała słowa wyraźnie, starając się używać wyrażen dobrze znanych Wendy.

– Jakimi zabawkami bawisz się, kochanie?

– Lalkami.

– Lalkami ?

– Wendy – Elizabeth cały czas starała się zachować spokój – odłóż te lalki, dobrze? Czas wracać.

– Bawię się.

Elizabeth jęknęła załamana, rozpoznając ten ton. Poniechała dyplomacji, walnęła pięścią w drzwi i krzyknęła:

– Wendy, wychodź stamtąd natychmiast, słyszysz?

Żadnej odpowiedzi.

Spojrzała na zegarek. Była czwarta trzydzieści. Culley nie wróci do domu wcześniej niż o piątej albo – tak jak poprzednio – zjawi się dopiero o dziesiątej czy jedenastej. Tymczasem ona będzie czekać tutaj w nieskończoność na krnąbrną, upartą dwulatkę, która może w tym momencie bawi się bombą jądrową! Culley na pewno bezpodstawnie nie zamykał tego

pokoju.

Musiała stamtąd wyprowadzić Wendy.

Ale jak? Wyważyć drzwi? Może lepiej zadzwonić po strażaków?

Pomyślała o doktorze Wardzie wracającym z pracy do domu, patrzącym na ulicę zastawioną samochodami straży pożarnej, na dom pełen ludzi w żółtych kombinezonach i rozgardiasz w swojej pracowni. Ta wizja wywołała dreszcze... Nie. Musiał być jakiś lepszy sposób, mniej ekscytujący.

A gdyby tak spróbować wyjąć drzwi z zawiasów? Tak. To było możliwe. Zawiasy znajdowały się po zewnętrznej stronie drzwi. Nie potrzebuje straży pożarnej. Może to zrobić sama, przy pomocy narzędzi z garażu.

– Wendy, ja zaraz wracam – krzyknęła Elizabeth i zbiegła po schodach. Piętnaście minut później, bogatsza o kilka siniaków, zdejmowała drzwi z zawiasów i odsuwała je ostrożnie w bok.

– Cześć, mamusiu! – Wendy nie okazywała żadnej skruchy.

Ale Elizabeth była zbyt zaskoczona, żeby jej coś odpowiedzieć. To, co tu zobaczyła, przekraczało jej najśmielsze wyobrażenia.

Podjeżdżając pod dom, Culley dostrzegł światło na poddaszu. „Nie, to niemożliwe” – powiedział do siebie. Pamiętał doskonale, że zamknął drzwi do pracowni, a poza tym Elizabeth nigdy by nie...

Wszedł frontowymi drzwiami, myśląc o powitaniu, które za chwilę nastąpi: tupot małych nóżek, wesoły okrzyk: „Cześć, tatusiu!” oraz rączki zaciskające się wokół jego kolan. Kiedy zamiast tego spotkała go cisza, westchnął żałośnie i potrząsnął głową. „Zdumiewające, jak szybko zdażyłem do tego przywyknąć” – mówił do siebie, zaglądając do pokoi na dole. Był w domu wcześniej niż zwykle, bowiem oczekiwany ładunek ksenonu jeszcze nie przybył, a był już piątek. Pomyślał o niespodziewanie wolnym weekendzie, który spędzi z dala od drukarki i laboratorium. Może gdzieś pojechać? Elizabeth spodobałoby się nowo otwarte muzeum, lecz Wendy zapewne wołałaby zoo.

Zobaczył otwarte drzwi od biblioteki – Elizabeth musiała tu być niedawno. Uśmiechnął się, widząc książkę i walkmana pozostawione na podłodze obok odkurzacza. Podniósł magnetofon i włączył go przypadkowo. Zdziwił się bardzo, słysząc „Creedence Clearwater Revival” Ostatnio także słuchał tej kasety.

Wychodząc ponownie na korytarz, usłyszał kroki na schodach. W spranych dzinsach i starej bluzie Elizabeth wyglądała jak mały łobuziak, który przed chwilą zszedł z drzewa. Włosy związała w koński ogon, na czerwonych policzkach miała jakieś smugi. W jednej ręce trzymała stare narzędzia jego ojca, drugą mocno ścisnęła rączkę Wendy. Mała nie wyglądała na szczęśliwą.

– Wszystko w porządku? – zapytał Culley pochylając się.

Elizabeth uśmiechnęła się czarująco.

– Tak, oczywiście.

Culley skinął głową w kierunku pudełka z narzędziami.

– Coś nawaliło? Dlaczego nie wezwałaś monterów?

– Co? O nie, nic takiego. To były... Ja tylko... To były drzwi, coś nie grało z zawiasami, ale wszystko już naprawione.

– Chcę zabawek – oznajmiła nadąsana Wendy. Culley uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Obawiam się, że ona nie jest dzisiaj w najlepszym Kumorze – powiedziała Elizabeth, a jej policzki nagle zaczerwieniły się. – Nie chciała ich odłożyć, kiedy oznajmiłam o końcu zabawy.

– Chcę lalek!

– Przepraszam, ale obiad nie jest jeszcze gotowy. Straciłam masę czasu. Musi być już bardzo późno, wezmę tylko...

– Nie szkodzi. To ja przyszedłem wcześniej. Elizabeth pociągnęła opierającą się Wendy.

– Nie spiesz się – zawołał. Zaczął wchodzić na górę, ale nagle zmienił decyzję! poszedł za nią do kuchni.

Stała przy zlewie i myła Wendy buzię i ręce. Kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi, podskoczyła nerwowo.

– Och, może zrobić ci coś? Drinka albo... ?

Wyglądała przepięknie, zaróżowiona, z lekko potarganymi włosami, które wymknęły się spinkom. Zapra gnął znaleźć się bliżej niej.

– Nie, dzięki. Zrobię sam.

Podszedł do lodówki, wyjął sok i postawił go na stole. Szafka ze szklankami była obok zlewu. Elizabeth spojrzała na niego i sięgnęła po szklankę, w chwili gdy on robił to samo. Ręka mężczyzny dotknęła jej ramienia. Poczul delikatną miękką skórę i uświadomił sobie dziwne ciepło i dreszcze ogarniające go z dużą siłą.

Usłyszał jej stłumiony oddech, kiedy ich spojrzenia spotkały się ponad głową Wendy. Elizabeth zamarła na chwilę w bezruchu, z lekko rozchyłonymi ustami, z głową pochyloną na bok; Potem wszystko zaczęło powoli wracać do normy: jej usta zamknęły się, rzęsy opadły, ukrywając wyraz oczu. Culley zabrał rękę z jej ramienia, a ona pochyliła się do Wendy stojącej na podłodze. Wziął szklankę z szafki i zaczął nalewać sok pomarańczowy, zaś Elizabeth zajęła się wycieraniem rączek i buzi Wendy.

Oboje jednocześnie zaryzykowali przerwanie panującej ciszy.

– Jeśli chodzi o weekend...

– Chciałam zapytać...

– Ty mów pierwsza – powiedział Culley, siadając ze swoją szklanką przy stole.

– Chcę soku. Elizabeth westchnęła.

– Co mówiłaś, Wendy?

– Proszę!

– Chodzi o ten weekend – zaczęła Elizabeth, zaspokoiwszy jej prośbę. – Hm... Nie mówiliśmy wprawdzie o tym – to znaczy, chodzi mi o dni wolne i takie sprawy, jak...

No tak! Były jeszcze sprawy, których nie załatwił.

– Twoja pensja. Przepraszam. Potrzebujesz pieniędzy? Pytam na wszelki wypadek: czy

moja matka mówiła o wysokości twojej pensji?

Zrobiła niecierpliwy ruch ręką.

– Tak, tak, wszystko jest w porządku. Powiedziała mi, ile można dostać za taką pracę, a ja zgodziłam się. Ale chodzi o...

– Czy możesz mi powiedzieć, ile mam ci płacić? Powiedziała.

– Dobry Boże, tylko tyle? – zapytał zaskoczony.

Znowu w jej policzku pojawił się dołeczek. Uświadomił sobie, że czuje dziwny ból, którego nie odczuwał, zanim nie zjawiała się w jego domu.

– Zawsze możesz dać mi podwyżkę – uśmiechnęła się i wykonała gest zaprzeczający swoim słowom. – Nie, nie, oczywiście żartowałam. To dobra zapłata. Nie zapominaj o mieszkaniu i wyżywieniu. Ale głównie chodzi mi o moje wolne dni w ciągu tygodnia i weekendy. Jeśli będzie jakaś wyjątkowa sytuacja i będziesz mnie potrzebował, to zawsze bardzo chętnie...

Wolne dni. Oczywiście. Nie wziął nawet pod uwagę faktu, że ona może potrzebować trochę czasu dla siebie. Nie miał do niej żadnych praw, nie była jego żoną, lecz pracownicą. Miała swoje własne życie, przyjaciół, znajomych, rodzinę. Poczł nagle jakieś niewytłumaczalne przygnębienie.

– Zrób jak najlepiej dla siebie – powiedział obojętnym tonem, dopijając resztki soku – tylko chciałbym wiedzieć, jakie masz plany.

– W takim razie... Jutro jest sobota, więc jeśli...

– Tak, świetnie. – Wstał, wstawił szklankę do zlewu i poszedł pracować na górę.

Wychodząc z kuchni, usłyszał głos Wendy.

– Mamo, gdzie poszedł tatuś? – Drzwi zamknęły się jednak, zanim zdążył usłyszeć odpowiedź Elizabeth.

Zalegał z pracą i miał zamiar nadrobić zaległości podczas tego weekendu. Przynajmniej będzie spokój w domu. Na ekranie pojawił się zielony kursor, ale Culley dostrzegł tylko parę szarzielonych oczu – wizja ta zaskoczyła go całkowicie. Lekko przymykając powieki, przypomniał sobie kształt jej ust, kolor warg, dostrzegł nerwowe poruszenia giętkiej szyi i szczupłych rąk. Oddychając głęboko, czuł cytrynowy zapach jej włosów, zmieszany z ciepłym zapachem jej pociągającego i doskonałego ciała. Zobaczył nagle, że gładzi dłonią własne udo, jakby było ramieniem Elizabeth. Ta bezwiedna pieszczota pobudzała tylko jego reakcje, wywołała wspomnienia z ostatnich dni. W tej chwili nie mógł już sobie odmówić tego, czego pragnął najbardziej na świecie: objąć swoją gospodynię i pocałować ją.

Rozdział piąty

– Mamo, ja nie chcę iść do sklepu – prosiła Wendy, gdy Elizabeth z trudem próbowała spiąć jej włosy w koński ogon. – I nie chcę tej gumki. – Mała była bliska płaczu.

– Och, Wendy. – Elizabeth nawet nie próbowała przekonywać córki. Ona również nie miała ochoty na robienie zakupów.

Podeszła do okna, zachęcona promieniami porannego słońca i śpiewem ptaków. Wdychała świeże powietrze pachnące sianem, nieznanymi kwiatami i suchymi liśćmi. Była niedziela, kolejny wspaniały jesienny ranek, zbyt piękny, żeby spędzać go w domu.

Poprzedni minął Elizabeth na bieganii po sklepach i odpoczynku w parku, gdzie Wendy aż do zmroku bawiła się na huśtawkach. Po kolacji u McDonalda i pysznych lodach zostały dwie godziny do pory, o której Wendy zwykle szła spać. Całe szczęście, że mała zajęła się swoimi malowankami.

Jednak Elizabeth jako osoba pracująca miała za sobą dopiero połowę swojego pierwszego weekendu i mówiąc szczerze, brakowało jej już pomysłów na spędzenie reszty wolnego czasu.

– Co robisz, mamo? Ja też chcę patrzeć! – Wendy z uporem starała się wdrapać na parapet.

– Moja maleńka – westchnęła Elizabeth, biorąc ją na ręce – co ja mam dzisiaj z tobą robić?

Kiedy obiecywała Culleyowi, że Wendy nie będzie mu przeszkadzać w pracy, zupełnie zapomniała o weekendach. Teraz, gdy dziecko odkryło już wszystkie niespodzianki czekające za frontowymi drzwiami, trudno było ją przekonać, by została w domu.

– Widzę, widzę! – krzyknęła Wendy z radością, wskazując na coś, co tylko ona mogła dostrzec na tle jesiennego nieba. Potem zniecierpliwiona zaczęła machać rączkami. – Chcę iść na dwór!

Dlaczego nie? Elizabeth z trudem udawało się utrzymać małą na rękach. Właściwie nie miały jeszcze okazji, by dokładnie zwiedzić nowe otoczenie. Mogą przecież spędzić dzień w ogrodzie. Szybko zapakowała jedzenie do koszyka.

– Urządzimy sobie piknik, kochanie. Doktor Ward nawet nie będzie wiedział, że jesteśmy w pobliżu.

Culley wszedł do kuchni.

– Cześć, tato! – krzyknęła z radością Wendy.

W tej samej chwili Elizabeth upuściła kromkę chleba z dżemem, który wylądował na podłodze. Znowu była zdenerwowana, znowu musiała ukrywać swoje zmieszanie. Kolejny raz starała się opanować niepokój, towarzyszący jej zawsze, kiedy Culley znajdował się w pobliżu. Wiedziała, że mężczyzna tak wykształcony i obyty jak on doskonale zdaje sobie sprawę z jej zakłopotania.

– Jak się masz, malutka? Co robisz? – Usłyszała jego głos, gdy wycierała podłogę.

Nie, to nie było do niej. Culley zbliżył się do Wendy, która siedziała na stole i próbowała

posmarować chleb masłem orzechowym.

– To będzie kanapka – odpowiedziała wesoło. – Chcesz?

Culley uśmiechnął się, a Wendy już po chwili bawiła się z Prissy, która wdrapała się na stół, zostawiając płaczące żałośnie kocięta w pudełku.

Elizabeth nerwowo ścierała podłogę. Mogła tylko obserwować krążące wokół stopy Culleya.

– Wiesz, to jedna z podstawowych zasad fizyki – powiedział delikatnie i ciepło. – Chleb zawsze spada posmarowaną stroną do dołu.

Ukucnął naprzeciw niej. Ubrany był w stare dżinsy i błękitną koszulę. Rękawy miał podwinięte. Elizabeth zauważyła kilkudniowy zarost na jego twarzy.

– Tak, to zostało naukowo stwierdzone. – Culley wstał, umył ręce i wziął małą marchewkę leżącą na stole.

– To jest śniadanie i lunch? – zapytał, wskazując na koszyk. Elizabeth zarumieniła się. Wrzuciła ścierkę do zlewu i spojrzała na córkę. Wendy jadła masło orzechowe palcami, zaś Prissy zlizywała słodką masę z przygotowanych kanapek.

– To lunch, a właściwie jedzenie na piknik.

– Piknik! – krzyknęła Wendy wesoło.

– Rozumiem. – Culley był wyraźnie zainteresowany. – Dokąd chcecie pojechać?

Elizabeth wytarła ręce.

– Nigdzie. Będziemy w ogrodzie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Nie zakłócimy ci pracy.

– A czy nie potrzebujecie czasem przewodnika? Chyba bym się nadawał – powiedział Culley spokojnie. – W końcu znam to miejsce od dziecka.

– Masz ochotę pójść z nami?

– Jasne, jeśli nie będę wam przeszkadzał.

– Ależ nie. Będzie nam bardzo miło.

– A ty co o tym myślisz, malutka? – Culley dotknął wymazanego słodkim masłem noska Wendy. – Chciałabyś, żebyśmy poszli razem?

Wendy z radością kiwnęła główką i krzyknęła:

– Mamo, tatuś idzie z nami!

– Czy wystarczy jedzenia dla trzech osób? – zapytał Culley uśmiechając się.

Ten uśmiech był przeznaczony tylko dla niej. Elizabeth poczuła nagle ciepło przenikające ją całą. Już dawno nie przeżywała czegoś podobnego. Nie potrafiła rozpoznać, że to jest po prostu szczęście. Prawdziwe szczęście.

– Wystarczy, pod warunkiem, że lubisz masło orzechowe.

– Uwielbiam, naprawdę.

Elizabeth wreszcie poczuła się swobodnie.

– Świetnie. W takim razie zapakuj jeszcze te jabłka. W szufladzie leżą plastikowe torebki.

Culley przygotował jedzenie i usiadł przy stole. „Co się ze mną dzieje? – zastanawiał się. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz w podobny sposób spędzałem niedzielę...”

Elizabeth czuła, że teraz mogłaby nawet zatańczyć – taka była radosna. Uśmiechnęła się do siebie. „To niesamowite – pomyślała – on rzeczywiście chce z nami pobyc przez ten dzień.”

– To najlepsze kanapki, jakie kiedykolwiek jadłem – stwierdził Culley, po czym ułożył się wygodnie na kocu.

Znaleźli sobie malownicze ciche miejsce osłonięte krzakami winorośli. Jesienne słońce przenikało między złotymi liśćmi. Elizabeth siedziała na starej drewnianej huśtawce, bujając się leniwie. Była odprężona i spokojna. Wendy przez chwilę siedziała na kolanach matki, ale już po chwili bawiła się z Culleyem. Wspólnie szukali ostatnich suszonych winogron pozostawionych przez ptaki. Mała z przejęciem zbierała je do swojej kolorowej torebki. Zabawa całkowicie ją pochłonęła.

Elizabeth mogła więc swobodnie przyglądać się Culleyowi. Patrzyła na jego włosy, które teraz wcale nie wydawały się jej zbyt długie. Próbowwała sobie wyobrazić, jakie były w dotyku.

– Znalazłam to w lodówce – powiedziała, wyjmując z koszyka paczkę herbatników. – Mam nadzieję, że są jeszcze świeże.

– Pewno zostały po ostatnim spotkaniu brydżowym organizowanym przez moją matkę. Zupełnie nie wiem, jak sobie poradzi bez kart na Tahiti.

– Tahiti? Myślałam, że wyjechała do Meksyku.

– Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Matka dzwoniła do mnie niedawno. Prawdopodobnie jej podróż trochę się przedłuży.

– Rozumiem – powiedziała Elizabeth ostrożnie.

– Wynika z tego, że będę potrzebować cię dłużej, niż to ustaliliśmy. Czy będzie to dla ciebie jakiś problem?

– Ależ nie.

– To dobrze.

Dookoła panowała cisza, mącona jedynie cichym skrzypieniem huśtawki, bzykaniem komarów, odgłosem przelatującego samolotu i coraz szybszym biciem jej serca.

– To jest wymarzone miejsce na piknik. Takie spokojne i romantyczne.

– Owszem – zgodził się Culley. – Tu właśnie po raz pierwszy pocałowałem dziewczynę. Miałem wtedy chyba jedenaście lat.

– Naprawdę? Poczekaj chwilkę, pozwól mi zgadnąć. Czy jej inicjały to „S. W.”?

– Nie. Nazywała się Anny Weismuller i mieszkała w domu obok. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiałam się, czyje inicjały są wryte na huśtawce – powiedziała, dotykając wyłobień – o tu, widzisz?

Culley zdjął okulary i wytarł je dokładnie.

– To inicjały mojej żony. Miała na imię Shannon – odpowiedział po chwili.

Elizabeth poczuła się trochę zmieszana, ale nie chciała zmieniać tematu.

– Shannon?

– Tak. Jej panięskie nazwisko brzmiało Wilder, ale kiedy wryła tu swoje inicjały, była już panią Ward. Pierwszy raz przywożłem ją tutaj miesiąc po ślubie. – Culley założył okulary

i mówił dalej: – Dokładnie pamiętam ten dzień. To nie są jej pełne inicjały. Shannon chciała tu wyryć... Przepraszam, chyba trochę się rozgadałem. – . Przez chwilę nie mówił nic, wspominając tamten dzień. Elizabeth widziała, ile kosztowały go te zwierzenia. W jakiś sposób zazdrościła mu. „Jego wspomnienia dotyczą przynajmniej miłych chwil” – pomyślała.

– Shannon lubiła używać obu nazwisk – Culley mówił już spokojniej. – „Shannon Wilder Ward” – ciągle to podkreślała. Boże, ile ona miała energii! Bylatenisistką. Kiedy ją spotkałem, zajmowała dziesiąte miejsce na liście Wimbledonu. Po ślubie zachęcałem ją, żeby dalej trenowała, ale nie zależało jej na tym... – głos mu się załamał.

– Chciała mieć dziecko. Oboje tego pragnęliśmy, dlatego przeprowadziliśmy się tutaj. Moi rodzice byli już na emeryturze i marzyli o jakimś spokojnym miejscu za miastem, więc odkupiliśmy od nich ten dom. To wprost wymarzone miejsce dla dzieci... – Znowu zamilkł na chwilę.

– Oboje nie mieliśmy rodzeństwa.

– Ja też jestem jedynaczką. – Głos Elizabeth był delikatny i cichy. – Dlatego cię rozumiem. Nie chciałabym też, żeby Wendy... – przerwała nagle. – Boże, Wendy! Gdzie ona jest?

Dopiero wtedy zorientowali się, że są sami.

Wendy robiła placek z rodzynkami. Włożyła do wiaderka wszystkie, które udało się jej zebrać, potem dodała garść żółtego piasku, kilka liści i gałązek. Potrzebowała trochę wody, żeby ciasto dało się lepiej wyrobić.

Mama i tatuś rozmawiali, a ona nie chciała im przeszkadzać. Sama wiedziała, gdzie można znaleźć wodę, dużo wody. To było tam, gdzie żyją żabki i gdzie jest taka duża wieża, z której leje się woda. Kiedyś chciała się tam pobawić, ale mama nie zgodziła się. Powiedziała, że to niedobre miejsce dla małej dziewczynki. Dokładnie pamiętała, gdzie to było, i teraz postanowiła pójść tam sama.

– Nie mogła odejść zbyt daleko – powiedział Culley. – Brama jest na pewno zamknięta.

Spojrzał na Elizabeth. W jej oczach był tylko strach, lęk o dziecko.

– Ty jej nie znasz. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, dokąd ona dociera. To mały poszukiwacz przygód. Do diabła! Była tak cicho, bawiła się tymi przekłętymi winogronami. Co jej mogło przyjść do głowy?

Culley położył rękę na jej ramieniu.

– Uspokój się. Zastanów się przez chwilę. Przecież znasz swoją córkę i wiesz, gdzie są jej ulubione ścieżki.

Elizabeth zamknęła oczy.

– Spróbuję. Ona lubi się chować, lubi zwierzęta.

– Wzięła ze sobą wiaderko, jeśli to ma jakieś znaczenie.

– Dobrze, a więc miała ze sobą winogrona, może chciała coś z nimi zrobić? Nie wiem, naprawdę nie wiem.

– Poczekaj. Wzięła ze sobą wiaderko. Co najczęściej dzieci noszą w wiaderku? – Culley mówił spokojnie, wolno, jakby rozważał jakiś naukowy problem.

– W wiaderku? Na miłość boską, nie wiem. Może wodę? – Jej oczy rozszerzyły się. – Coś

do picia. Może chciało się jej pić? Może poszła poszukać wody...

– Hydrant? – zastanawiał się Gulley, ale myślał o czymś zupełnie innym.

Elizabeth pokręciła głową.

– Nie, nie przypuszczam, żeby... O Boże! – Elizabeth chwyciła się za głowę. – Sadržawka! Pamiętasz? Chciała się tam bawić z tymi głupimi żabami. Boże...

– Uspokój się, Elizabeth, tam jest płytko. – Culley starał się ją przekonać, chociaż sam był bardzo przejęty. – Naprawdę.

Sadržawka była pomysłem Shannon. Stara fontanna nie działała od wielu lat. Kiedy kupili ten dom, chciał wszystko zasypać, ale Shannon przekonała go, żeby tego nie robił. „Będzie pięknie – mówiła ze zwykłym sobie entuzjazmem – będziemy hodować tu złote rybki, a może kaczki?” – „Kochanie, kaczki zjedzą lilie” – starał się jej wytłumaczyć. W końcu zgodzili się na rybki, ale ostatnia zdechła rok temu.

Dochodzili do rogu domu, kiedy nagle usłyszeli płacz dziecka. Spojrzeli na siebie, wiedząc, skąd dochodzi ten głos. Zaczęli szybko biec. Żwirowa alejka zdawała się nie mieć końca.

Culley dobiegł pierwszy.

Przestraszona Wendy, stała zanurzona po pas w sadzawce, a po twarzy spływały jej strużki brunatnej wody.

Szybko wyciągnął ją z wody i długo trzymał w ramionach. Wendy przytuliła swoją wilgotną buzię do jego policzka. Jej małe, drobne ciało drżało niespokojnie. Tulił ją do siebie i uspokajał:

– Już wszystko dobrze, kochanie. Już dobrze.

Przypomniawszy sobie o Elizabeth. Stała wystraszona i patrzyła tylko na córkę, która przytuliła się do obcego mężczyzny.

– Wszystko jest w porządku. Mafa jest mokra, zmarznięta i wystraszona, ale nic się nie stało.

– Kochanie, nie bój się, mama jest tutaj – odezwała się Elizabeth. Wendy nie chciała jednak opuszczać bezpiecznego miejsca. Ciągle się bała. Culley spojrzał na przestraszoną kobietę.

– Idź do mamy, małeńka. Mama czeka na ciebie – powiedział, łagodnie podając ją Elizabeth.

– Ona się trzęsie z zimna.

– Masz, okryj ją. – Culley podał jej swoją koszulę.

– Dziękuję.

– Wszystko będzie dobrze. – Nie poznawał swojego głosu.

– Wiem, ale boję się, że kiedyś może...

– Jutro to zasypię. Obiecuję.

Culley poczuł nagle nieodpartą chęć przytulenia ich obu. Chciał trzymać je w ramionach tak długo, aż uspokoiłyby się całkowicie.

– Nie lubię tej wody – powiedziała nagle Wendy.

– Oj, malutka... – szepnęła Elizabeth, przytulając ją mocno do siebie.

– Ale na ciepłą kąpiel na pewno masz ochotę – zaproponował Culley.

– Nie chcę kąpiele! – Wendy wcale nie była tym zachwycona.

– A nie mówiłam ci, że ona jest niesamowita? – Elizabeth śmiała się, ale Culley zauważył łzy w jej oczach. Objął ją delikatnie i powoli wracali do tchu.

Elizabeth chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie. Chciała być z Wendy i jednocześnie czuć Culleya blisko przy sobie. To nie znane dotąd uczucie budziło marzenia o radości, której nigdy nie czuła, o intymności, której nigdy z nikim tak naprawdę nie dzieliła. Zamknęła oczy. Bliskość Culleya wypełniała całe jej ciało, działała na wszystkie zmysły.

– Mogę ją wziąć od ciebie? – Stała przed schodami. Pokręciła przecząco głową.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie sama.

Szybko odwróciła od niego twarz. Nie chciała, żeby zauważył jej zakłopotanie. Sądziła, że teraz zostawi je same, ale on szedł za nimi na górę. Nie dotykał jej, po prostu był obok, ale czuła jego obecność całym ciałem. Nie mogła mu wyjaśnić, jakie ma to dla niej znaczenie – być przy nim, dzielić z nim strach i ulgę. Mieć poczucie bezpieczeństwa i siły. Znowu chciała być silna, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak ogromnie była samotna.

Kiedy dotarli do łazienki, Elizabeth posadziła małą na taborecie i nie zważając na niezadowolone córki, odkręciła wodę. Culley zatrzymał się w drzwiach, nie wiedząc, czy powinien wchodzić dalej.

– Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować – powiedziała, sprawdzając temperaturę wody. Starła się nie patrzeć na niego. Nie chciała, aby zorientował się, jakie wrażenie wywiera na niej jego nagi tors. Nie wyglądał bynajmniej jak umięśniony atleta, był po prostu dobrze zbudowany. Opalenizna i delikatny zarost dodawały mu uroku, któremu trudno było się oprzeć.

O tak, chciała, bardzo chciała, żeby wszedł, żeby był przy niej, ale jednocześnie bała się własnych reakcji. Wiedziała, że niewiele jest rzeczy, których mogłaby mu odmówić.

Culley stał w drzwiach łazienki. Oparł się o futrynę, niedbale włożył ręce do kieszeni spodni. Nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób, zupełnie nieświadomie, podkreśla kształty swojej sylwetki.

– Nie masz za co, zresztą, przybiegłaś tylko kilka sekund później.

– Wiem, ale... – przerwała. Poczowała, że gardło ma zupełnie suche. Znowu widziała jego ciało, obserwowała poruszające się mięśnie. Oszołomiona odwróciła się do Wendy. Powoli zdjęła jej ubranko. – Wiesz, ten strach nigdy mnie nie opuszcza – zaczęła mówić, nie patrząc na niego. – Myśl, że mogłabym ją stracić... Jeśli coś by się jej stało, naprawdę nie wiem, co bym wtedy zrobiła. Ty nigdy nie zrozumiesz, o co mi chodzi, nie jesteś przecież ojcem – przerwała nagle, przypominając sobie jego niedawną opowieść. Odwróciła się do niego. W tej chwili dzieliła jego ból. – Och, Culley, przepraszam. Nie powinnam tego powiedzieć. Wiem, że chciałeś...

– W porządku – powiedział cicho. – Istotnie nie jestem ojcem.

W ciszy, która nastąpiła, Elizabeth rozumiała, że coś nowego nawiązuje się między nimi, że stają się sobie coraz bliżsi niezależnie od swojej woli.

– Ale niewiele brakowało – kontynuował. – Shannon była w ciąży, kiedy dowiedziała się,

że ma raka. Zrezygnowała z leczenia, które – być może – przedłużyłoby jej życie, aby ratować dziecko. Była naprawdę bardzo dzielna, ale to nie wystarczyło. Zmarła w piątym miesiącu ciąży.

Elizabeth nie wiedziała, co powiedzieć. Ogarnęło ją współczucie dla mężczyzny, który stał przed nią. To nie był już doktor Ward, wybitny fizyk, to nie był nawet jej pracodawca, to był po prostu Culley – zwykły człowiek ze złamanym sercem. Podeszła do niego. Chciała go objąć, ofiarować mu swoje wsparcie. Zrobiła dwa kroki i zatrzymała się. Wiedziała, że nie wolno jej go dotknąć. Nie teraz. Nie w ten sposób. W ogóle nie. Bardzo chciała być przy nim, czuć go blisko siebie, ale jednocześnie nie mogła sobie na to pozwolić.

– Tak mi przykro – szepnęła odwracając się.

Po chwili zorientowała się, że ciągle trzyma w ręku jego koszulę. Kiedy mu ją oddawała, odważyła się spojrzeć na niego. Dostrzegła samotność w jego oczach. Miała tylko nadzieję, że on nie zauważył jej podniecenia.

Tymczasem Wendy zaczęła się trochę niecierpliwic. Elizabeth wzięła ją w ramiona i przytuliła mocno. Potem rozebrała ją i wsadziła do ciepłej wody. Culley a już nie było.

Wendy obudziła się cała rozpalona, miała gorączkę. Culley zgodził się z Elizabeth, że jest to normalne u małych dzieci, ale mimo wszystko czuł się nieswojo. Obwinił siebie za to, co się stało, i nie mógł nic na to poradzić. Jednocześnie odnosił wrażenie, że Elizabeth sądzi podobnie, wszak spędziła z Wendy całe popołudnie, czytała jej bajki, bawiła się z nią, była przy niej nawet wtedy, gdy mała spała.

Wiedział, że coś jest nie w porządku. Może chodziło o jego obecność w łazience, być może... Nie znosił sytuacji pełnych niedopowiedzeń. Zawsze szukał aż do skutku odpowiedzi na wszystkie pytania. Teraz też chciał dowiedzieć się, o czym myśli Elizabeth. Po prostu chciał bliżej poznać tę czułą, opiekuńczą, kochającą, wielkoduszną i trochę nieśmiałą kobietę. Wiedział już, że jej mąż zmarł rok temu. Czy ciągle jest pogrążona w żałobie? Pamiętał, i że on w rok po śmierci Shannon nie mógł jeszcze dojść do siebie, ale przecież każdy znosi ból w inny sposób, każdy radzi sobie z nim inaczej.

Nie mógł przestać myśleć o tym wszystkim: o chorobie Wendy, o sprawach związanych z Elizabeth. Kosztowało go wiele trudu, zanim wreszcie wziął się do pracy. Całe popołudnie spędził przy komputerze. Cisza panująca w domu pozwoliła mu na pełną koncentrację.

Przerwał dopiero wtedy, kiedy poczuł głód. Rozejrzał się dookoła i ze zdziwieniem zauważył, że jest już noc. Pomyślał o kolacji. Zerknął na zegarek – była północ. Przeciągnął się leniwie, zastanawiając się, dlaczego przez cały czas koty nie domagały się jedzenia. Domyślił się, że Elizabeth musiała je już wcześniej nakarmić, ale i tak nie mógł zrozumieć, dlaczego Albert nie przyszedł do pracowni, by zająć swoje ulubione miejsce na parapecie.

Postanowił zejść do kuchni i poszukać czegoś w lodówce. Przechodząc przez hol, nie zauważył, że drzwi do pokoju Wendy są otwarte i ciągle pali się tam światło.

W kuchni napił się mleka. Spojrzał jeszcze na Prissy i kocięta, potem wyłączył światło i ziewając poszedł na górę. Był bardzo zmęczony, a przecież jutro czekała na niego praca w laboratorium.

Zdjął okulary, wyjął wszystko z kieszeni i poszedł do łazienki. Kiedy dostrzegł palące się

światło, postanowił wstąpić i zapytać, jak się czuje Wendy.

W pokoju Elizabeth zobaczył tylko ubrania pozostawione na krześle i zasłane łóżko. Uśmiechnął się do siebie i na palcach wszedł do drugiego pokoju. Elizabeth ubrana w błękitną nocną koszulę spała spokojnie przytulona do Wendy.

Podszedł bliżej i patrzył na nie ze wzruszeniem. Dotknął czoła Wendy. „Całe szczęście – pomyślał – gorączka minęła. „Przeniósł wzrok na Elizabeth. Przez chwilę walczył z ogromną chęcią dotknięcia jej. „Dlaczego nie? – pomyślał – przecież śpi, nawet nie będzie wiedzieć.” Delikatnie pogładził jej policzek, odgarnął z niego włosy, dotknął szyi. Dreszcz emocji przeszył mu ciało. Podniósł ją delikatnie, a ona cichutko westchnęła i przekręciła się nieznacznie w jego objęciach. Czuł, jak nieświadomie stara się do niego przytulić. Zachwycała go delikatność i ciepło płynące z jej ciała. Nie potrafił powstrzymać się, żeby nie dotknąć ustami jej puszystych włosów.

Niósł ją do jej pokoju – Elizabeth wybrała niewielki pokój z alkwą i balkonem, ten sam, który kiedyś z Shannon przeznaczyci na pokój dziecięcy. Jej łóżko miało z trzech stron ozdobne metalowe pręty. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie będzie mógł jej dobrze ułożyć na łóżku – trzymał ją w taki sposób, że jej nogi znalazłyby się na poduszce. „W porządku – powiedział sam do siebie – w końcu jestem naukowcem. Udało mi się opracować projekty badań międzyplanetarnych, to poradzę sobie i z tym. „Odwrócił się i trzymając ją usiadł na łóżku. Jak dotąd wszystko układało się pomyślnie, przynajmniej głowa Elizabeth znajdowała się na właściwym miejscu. Teraz pozostawało tylko wysunąć się delikatnie spod jej ciała. Położył rękę na jej biodrach. W tym momencie Elizabeth mruknęła coś niewyraźnie, obejmując go za szyję.

Zamknął oczy. Nie wiedział, co robić dalej.

– Elizabeth – wyszeptał, otaczając jej wiotką talię.

– Culley. – Jej głos był spokojny. Patrzyła na niego zdziwiona, ale jednocześnie z jakimś pragnieniem w oczach.

Raptem zabrakło mu powietrza. Wiedział, co się stanie za chwilę, i nie zrobił nic, żeby temu zapobiec.

Rozdział szósty

– Culley ? – szepnęła niepewnie Elizabeth. Był tak rozkosznie blisko, jego oddech ogrzewał jej drżące wargi.

Jak cudownie było czuć jego szyję, jedwabistą szorstkość zarostu, twardą krawędź ud i ten niesamowity dreszcz wywołany delikatnym dotykiem jego ręki, która rozchyliła jej koszulę i teraz błędziła po ciele.

Pobudzona tym niespodziewanym darem Elizabeth uniosła twarz i ustami dotknęła jego warg. Ich usta delikatnie złączyły się, a po chwili jego wargi zaczęły się powoli poruszać jak jedwab na aksamicie... Rozkosz pojawiła się niczym wiosenny powiew słońca, wywołując uśmiech, ale nie pozwolił jej złapać tchu, delikatnie rozpoznając językiem kształt jej warg. Po chwili, gdy zaczęła ciężko oddychać, wsunął wolno język między jej lekko rozchylone usta.

Poczuła, że jest pobudzona bez granic drzemiącymi w niej pragnieniami. Reagując na jego pieszczoty, lekko wygięła się do tyłu, wówczas Culley bardziej rozsunął okrywającą ją koszulę i przesunął rękoma po jej ciele, w dół i w górę. Jej palce oplótły mu szyję, potem zatopiły się we włosach. Uniosła się, aby ponownie go pocałować, zachęcając jednocześnie jego dłonie do kontynuowania pieszczot. Teraz gładził jej plecy, dotykał piersi. Kiedy kciukiem pogładził naprężoną brodawkę, jęknęła i skuliła się w jego ramionach.

Jego usta... Ręce... Tak wspaniale było czuć je wreszcie na sobie. Jakże cudownie było doświadczać tego niezwykłego splotu delikatności i namiętności, rozbudzonego erotyzmu i czulej powściągliwości. Gwałtowne pożądanie, którego nie była świadoma wcześniej, teraz ożyło z ogromną siłą. Jego echo usłyszała także w westchnieniach Culleya, lecz on nagle postanowił oddalić się od niej. Łamiącym się głosem wypowiedział jej imię, doprowadził do porządku jej nocną koszulę i odsunął się.

Elizabeth westchnęła. Z drzeniem powracała do rzeczywistości, choć wcale tego nie pragnęła, przynajmniej nie teraz. „Jeszcze jedną krótką chwilę – błagała w myślach – niech to dzieje się nadal. Było tak wspaniale. „

– Elizabeth? Skinęła głową.

– Wiem. Wiem, przepraszam...

– Nie przepraszaj. To była moja...

– Nie, nie. To nie była twoja wina. – Uśmiechnęła się smutno i próbowała wstać. – To była moja wina. Obudziłam się i...

Przytrzymał ją mocno, przewyciężając jej opór.

– Była wspólna. – Spróbował nadać swojej twarzy poważny wyraz, ale bez okularów wyglądał dziwnie bezbronne. – Elizabeth, chyba nie zostawimy tego tak?

Potrząsnęła głową. Spuściła oczy, tak by nie mógł odczytać jej myśli. Uwolnione pragnienia zawładnęły nią całkowicie, przez co poczuła się zakłopotana i zdemaskowana.

To była wyłącznie jej wina – wiedziała, że Culley starał się tylko być miłym i uczynnym, niosąc ją do łóżka, a ona zaatakowała go – swojego pracodawcę! Ale właśnie w tamtej chwili jej uczucia przeważyły rozsądek i nie umiała tego ukryć. Pragnęła go. Całe jej ciało płonęło z

pożądania.

– Ja... – zaczęła i potrząsnęła głową. Po chwili, przełykając ślinę, wykrztusiła: – To się już nie powtórzy, doktorze Ward. Obiecuję.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Och, ale przecież tak bardzo pragnęła, żeby to znów się zdarzyło.

Przewyciężając opór Elizabeth, uniósł jej podbródek tak, że wreszcie spojrzała na niego.

– Elizabeth, nie staraj się nic zmieniać, proszę cię. „Nie zmieniać? Za późno!” Jej serce krzyczało. Przecież właśnie wszystko zmieniała... i to nieodwołalnie.

– Proszę, nie bądź zakłopotana. To, co się zdarzyło... Posłuchaj: zdenerwowaliśmy się tym popołudniowym wypadkiem. Było późno, byliśmy zmęczeni, to wszystko – mówił wolno, próbując znaleźć potwierdzenie w jej oczach. Zastanawiała się, kogo próbował przekonać. – Oboje jesteśmy dorośli i mamy dość rozumu, żeby rozpoznać, jaką to ma wartość. Nie pozwólmy, aby coś zakłóciło nasze stosunki. Zgadzasz się ze mną?

– Naturalnie – szepnęła Elizabeth, ale jej serce protestowało: „Dlaczego wciąż jestem w twoich objęciach? Dlaczego twoje serce bije tak szybko i mocno? Dlaczego ręce są wciąż na moich ramionach, czemu poprzez ubranie czuję ciągle na plecach dotyk twoich palców?”

I wtedy Culley pomyślał dokładnie to samo. Wypuścił ją z ramion. Usiadła na łóżku, a on potrząsnął głową.

– To się nie powtórzy, Elizabeth. Nie musisz się o to martwić.

– Nie martwię się. – Wcale nie myślała o nim, czuła się ukarana i odrzucona.

– To dobrze. – Zawahał się przez chwilę. – W takim razie, dobranoc.

– Tak – odpowiedziała Elizabeth – dobranoc.

Siedziała wciąż bez mchu, zdziwiona, że czuje się aż tak przygnębiona, tak zagniewana i tak bardzo nieszczęśliwa.

Culley położył się do łóżka w bardzo złym nastroju. Leżąc w ciemności, długo niemógł usnąć. Był rozgniewany i sam nie wiedział, z jakiej przyczyny – czy tym, co zrobił, czy tym, czego nie zrobił? Złościł się na matkę, że wystawiła go na taką próbę, na Elizabeth, że była taka piękna, pełna ciepła, spontaniczna i oddana. Był nawet zły na Shannon za to, że odeszła i go zostawiła. Ale najbardziej zły był na samego siebie – za to, że zostawił Elizabeth samą.

„Dlaczego nie? Do diabła, dlaczego nie Elizabeth?” Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od śmierci żony „zainteresowała go inna kobieta. I co zrobił? Wygłosił krótkie kazanie jak dystyngowany dyrektor szkoły i wrócił do swojego pustego łóżka. „A, niech to! – mówił do siebie – byłem sam przez pięć lat. Pięć lat, to wystarczająco długo, „ Nie wykluczał nigdy, że może się z kimś związać, więc dlaczego nie teraz? Elizabeth była dojrzałą kobietą. Nie broniła się przed nim i gdyby kontynuował pieszczoty, nie musiałby leżeć sam w tym ogromnym łóżku, czując nieokiełznaną namiętność pulsującą w każdym zakamarku ciała.

Dlaczego to zrobił?

Zamykając oczy, wyobraził sobie Elizabeth w swoich ramionach, jej delikatne białe piersi przytulane do jego ciała, szare oczy uśmiechające się do niego. „Idiota” – szepnął i zaśmiał się smutno w ciemności. Niestety on ma sumienie. Wcześniej czy później uniesienie mogłoby zniknąć, zostawiając mu gorzką świadomość, że wykorzystał wrażliwą,

skrzywdzoną przez los, ufającą mu kobietę. Nieważne, w jakich okolicznościach do tego doszło – to byłoby świństwo.

Poczuł się trochę lepiej. Uspokoił się, przekręcił na bok i ułożył wygodnie na poduszce. W głębi duszy był romantykiem. Był świadomy tego, że pragnie czegoś więcej niż pięknego, budzącego pożądanie ciała do zapełnienia łóżka. Pragnął, aby odpowiedziała na jego uczucia nie dlatego, że była samotna i potrzebowała byle kogo, ale dlatego, że potrzebowała właśnie jego.

Następnego dnia, kiedy rano zszedł na śniadanie, nie zastał w kuchni ani Elizabeth, ani Wendy.

Był rozczarowany. Zdążył już się przyzwyczaić do okrzyku „Cześć, tato!” na powitanie. Przywykł także do zapachu świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego i promieni porannego słońca na czerwonozłoty włosach.

Ogarnął go przejmujący smutek i żal. Oczywiście, unikała go ze względu na ostatnią noc – mógł się tego spodziewać.

Nie pozwoli jej postępować w ten sposób, zwłaszcza że bardzo lubił ich towarzystwo. To prawda, na początku nie podobał mu się pomysł dzielenia domu z nieznaną kobietą i jej dwuletnim dzieckiem, ale teraz to aprobował. Co więcej, doceniał ich towarzystwo. Nie chciał, aby powstał między nimi mur milczenia tylko dlatego, że nie zachował się należycie. Zdecydował się porozmawiać z nią o tym. Byli przecież dojrzałymi, inteligentnymi ludźmi, powinni zatem umieć spokojnie przeanalizować tę sprawę.

Z tym postanowieniem poszedł szukać Elizabeth. Znalazł ją z tyłu domu na werandzie, klęczącą obok stosu bielizny i segregującą czyste rzeczy. Gdy ją ujrzał, zapomniał na chwilę, po co przyszedł, i stał, obserwując jej mchy.

– Cześć! – Jej spojrzenie było pełne winy.

– Cześć – odpowiedział Culley, kucając obok niej.

– Widzisz, jakie mam skarpetki? – Wendy podniosła stopę, na której powiewała jedna z podkolanówek Culleya.

Ponieważ potrzebował kilku chwil, aby odzyskać równowagę, chętnie skorzystał z możliwości, jaką stworzyła mu córka Elizabeth.

– To jest moja skarpetka! – zawołał i zerwał ją z nogi Wendy.

– Nie, moja! – zapiszczała mała, próbując ją odebrać, lecz Culley trzymał ją wysoko ponad głową, poza jej zasięgiem. Chichocząc, bez żadnego skrępowania rzuciła się na niego. Krzycząc z radości, wdrapała się na niego, przewróciła go i tryumfalnie zaczęła wymachiwać zdobyczą.

– Wygrałaś, poddaję się!

– Wendy, dosyć tego, zostaw doktora Warda w spokoju.

Ściągnęła z niego protestującą córkę. Culley podniósł się, otrzepał i przeczesał ręką włosy. „W końcu – pomyślał – przynajmniej teraz mam czym wytłumaczyć brak oddechu. „ Elizabeth nigdy nie dowie się, że przed chwilą – w wyobraźni – miał ją znów w ramionach. Czuł jej obecność jeszcze teraz, porównując to doznanie ze wspomnieniem tego, czego w rzeczywistości doświadczył ostatniego wieczoru.

– Czy wczorajsza kąpiel nie zaszkodziła jej? – zapytał.

– Nie, wszystko w porządku. – Elizabeth wrzuciła bieliznę do pralki i powróciła do składania ubrań. Przysunął się do niej.

– Nie ma gorączki?

– Nie, chyba nie – odpowiedziała, unikając jego wzroku. – Zostawiłam ci śniadanie w piecyku, żeby nie ostygło. Sok jest w lodówce. Pewnie się spieszysz?

– Nie, nie spieszę się – powiedział Culley cicho. – Chciałbym z tobą porozmawiać – przerwał, patrząc, jak jej smukłe palce wygładzają ostrożnie złożone ubrania. – Chodzi o ostatni wieczór... Jej dłonie zatrzymały się.

– Tak? – Usłyszał jej cichy oddech. – Pewnie chcesz, żebym odeszła możliwie szybko? Rozumiem.

Niebieskawe cienie rzęs kontrastowały z bladością policzków.

– Do diabła! O czym ty mówisz? Nie chcę wcale, żebyś odeszła! Chcę tylko porozmawiać – Skłamał. To była nieprawda, teraz chciał wziąć ją w ramiona i skończyć to, co przerwał wieczorem.

Elizabeth spojrzała surowo na Wendy, która zajęła się nogą Culleya, usiłując założyć mu skarpetkę.

– Kochanie, może poszłabyś do ogrodu i zerwała trochę pomarańczy?

Wendy potrząsnęła głową i jeszcze mocniej przywarła do Culleya.

– Chcę bawić się z tatusiem.

– Tatuś... to znaczy, doktor Ward nie może teraz się z tobą bawić! Musi zjeść śniadanie. Dlaczego nie pójdziesz i nie zobaczysz, ile pomarańczy może zmieścić się w tym wiaderku?

Wendy najwyraźniej nie miała na to ochoty.

– Poczekaj chwilę – Culley wziął wiaderko – lepiej będzie, jeśli ja to zrobię. Wendy jest za mała, żeby zrywać pomarańcze.

– Nieprawda! Jestem duża!

– Och, Wendy – westchnęła Elizabeth. – Culley ma rację. Kochanie, jesteś rzeczywiście za mała.

Wargi Wendy zaczęły drżeć.

– Chcę zrywać pomarańcze!

– Nie wiem, czy...

– Pozwól jej spróbować – powiedział Culley, mrugając znacząco do dziewczynki.

– W porządku. – Elizabeth z widocznym oporem oddała jej koszyk i przytrzymała drzwi.

– Tylko nie za dużo – krzyknęła za nią, potem odwróciła się z powrotem w stronę Culleya.

– Rozegraliśmy to wspaniale. Wybuchnęła śmiechem.

– Tak. To było bardzo proste.

– Zdumiewające, jakie efekty może dać praca zespołowa, nieprawdaż?

Jej uśmiech zniknął szybko.

– Chciałeś ze mną porozmawiać?

– Tak – rzekł Culley, nienawidząc strachu, jaki właśnie dostrzegł w jej oczach, i nienawidząc siebie za to, że był jego przyczyną. – Tak, wydaje mi się, że powinniśmy to

uczynić.

Znów zaczęła przerzucać stos czystych ubrań.

– Chyba już to zrobiliśmy ostatniej nocy.

– Owszem. Oraz uzgodniliśmy, że nie będziesz zakłopotana.

– Łatwo ci mówić.

– Nie rozumiem cię, Elizabeth. Dlaczego to cię tak dręczy?

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Chciałeś być wczoraj miły? Culley zmierzwił ręką włosy.

– Posłuchaj, pocałowałem... – Widząc wyraz jej twarzy, szybko poprawił się. – W porządku, w porządku, to ty mnie pocałowałaś. I co w tym strasznego? Elizabeth, naprawdę nie stało się nic strasznego. Po prostu – całowaliśmy się.

– Jestem twoją gospodynią – stwierdziła, jakby to wyjaśniało wszystko.

– A cóż to ma do rzeczy?

– Byłeś dobry dla mnie, dla nas. A ja właściwie rzuciłam się na ciebie.

– Do diabła!

Powoli odwróciła się i teraz patrzyli sobie prosto w oczy. Culley widział jej zmieszanie i chciał ją jakoś pocieszyć.

– Wiem, że jest ci bardzo trudno. Uwierz mi, ja to rozumiem – przecież ze mną było to samo. Po prostu, daj sobie trochę czasu...

Nieznacznie potrząsnęła głową.

– Czasu? Po co?

Pozwolił sobie na dotknięcie jej – pogładził ją po policzku.

– Żeby wszystko się ułożyło. Od śmierci twojego męża minął dopiero rok, ale czas leczy rany – uśmiechnął się nieśmiało. – Bardzo długo nie mogłem się pozbierać po śmierci Shannon. Ale jedno wiem na pewno: wkrótce minie twoja żałoba i będzie ci lepiej.

Błysk w jej oczach zniknął.

– Myślisz, że...

„Elizabeth, nie zamykaj się w sobie, sama ze swoim bólem. Porozmawiaj o tym z kimś. Porozmawiaj ze mną!” – chciał krzyknąć.

– To naturalne, że jesteś smutna – powiedział. – I nie ma nic złego w tym, że potrzebujesz podpory, obrony. Rozumiem to.

– A jak nazwiesz to, co się stało? To, co zaszło między nami?

– Miałaś zły dzień i po prostu potrzebowałaś małego odprężenia, i tyle. – Uśmiechnął się. – Robisz z tego wielką aferę. Zapomnij o tym.

Jej usta skrzywiły się. Patrzyła na niego badawczo. Zdał sobie sprawę, że zbyt łatwo przyszło mu to kłamstwo. Nagle wydało mu się, że cisza ogarnia ich jak ciepło letniej nocy. Prawie czuł jej oddech na swoich wargach, palce wokół swojej szyi, piersi...

– Elizabeth – powiedział, wyciągając do niej rękę. Zadzwieczał dzwonek. Jego przenikliwy ton dotarł nawet na werandę.

– Cholera.

Stali chwilę w ciszy, ale gong odezwał się ponownie.

– Lepiej pójde zobaczyć, kto to – powiedziała Elizabeth. Rzuciwszy przez okno przelotne spojrzenie na Wendy, która nadal bawiła się zrywaniem pomarańczy, Culley poszedł za Elizabeth. Kiedy znalazł się przy drzwiach, zastał ją witającą się z dwojgiem ludzi w średnim wieku. Była blada jak ściana.

– Maggie?... Carl? Skąd wiedzieliście? Co tu robicie?

Culley podszedł do niej z tyłu i przesunęła się instynktownie, robiąc mu miejsce. Mimo wszystko jego obecność dodała jej sił.

– Elizabeth – zaczęła Maggie – przyjechaliśmy, odwiedzić naszą wnuczkę. Gdzie ona jest? Gdzie jest mój aniołek?

– Przebywaliśmy w pobliżu. – Carl mówił spokojnym głosem. – Pan musi być...

– Doktor Ward – Elizabeth dokonała prezentacji. – A to są państwo Resnickowie. Moi... hm, dziadkowie Wendy.

– Miło państwa poznać. – Witając się z gośćmi, Culley położył drugą dłoń na ramieniu Elizabeth. Gest ten naturalnie nie uszedł uwagi Resnicków.

– Doktorze Ward, słyszałem o pańskich osiągnięciach. – Culley spojrzał na Carla, mile zaskoczony. – Przejrzałem któryś z pana artykułów. Oczywiście, nie zrozumiałem z niego ani słowa, ale komitet Nagrody Nobla musiał być pod wrażeniem. Moje gratulacje.

Zakłopotany Culley mruknął coś niezrozumiałego pod nosem. Elizabeth chciała usłyszeć coś więcej na ten temat, ale Margaret zmieniła temat.

– A gdzie jest Wendy? Już nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę moje kochanie. Nie widziałam jej całe wieki. Jak ona się czuje, czy nic jej nie jest?

– Nie, wszystko w porządku – powiedziała Elizabeth zimno, zaciskając wargi.

– Jest w ogrodzie z tyłu domu. Zrywa pomarańcze – wytłumaczył Culley. – Proszę, wejdźcie.

– Naprawdę? – Maggie rzuciła Culleyowi proszące spojrzenie. – To nie jest najlepsza pora. Na pewno odciągamy pana od pracy.

Elizabeth bezradnie wzruszyła ramionami i spojrzała na Culleya. Jak zwykle przy spotkaniu z teściami traciła odwagę. Narastała w niej obawa i uraza. „To dziecinada” – tłumaczyła sobie. Naprawdę była dziecinna. Resnickowie kochali Wendy. Mieli wobec niej dobre zamiary. Przecież była wszystkim, co zostało po ich synu. Jak mogła być na nich zła za to, że chcieli ją zobaczyć?

– Doktorze Ward, jeśli musi pan wyjść, proszę się nami nie przejmować.

– Ależ nie – stwierdził Culley serdecznie – proszę, tędy.

Przez kuchenne okno Elizabeth zobaczyła Wendy bawiącą się pod drzewem. Widocznie znudziło się jej zrywanie pomarańczy, bo teraz zajęta była wyjmowaniem ich z wiaderka i układaniem na trawie. W swoim żółtym dresie, z jedwabistymi jasnymi włosami spadającymi na różowe policzki wywołała w Elizabeth myśl o wiosnie, o czerwonych tulipanach i żółtych narcyzach. „Jest taka śliczna – pomyślała z dumą. – Jednocześnie taka maleńka i bezbronna. „ Elizabeth chciała iść i przygotować ją do wizyty dziadków, ale Margaret uprzedziła ją. Ze zwykłą sobie stanowczością sforsowała tylne drzwi i z rozwartymi ramionami zbliżała się do wnuczki.

– Och, tu jesteś! Jak się miewa moja wnusia? Chodź, kochanie, przywitaj się z babcią!

Wendy zbladła na jej widok, potem cofnęła się instynktownie. Potknęła się o wiaderko i usiadła na nim, ale wiaderko wygięło się, zrzucając ją na trawę. Przestraszona i zaskoczona upadkiem zaczęła głośno krzyczeć.

Elizabeth przyłożyła rękę do ust, niepewna, co zrobić. Margaret stanęła jak wryta, jedynie Culley wiedział, jak zareagować. Spokojnie, ale zdecydowanie podniósł Wendy, otrzepał jej dres, po czym postawił ją na ziemi.

– Możesz iść, kotku, nic ci nie jest – powiedział, całując jej załzawione policzki. – Nie płacz już, zobacz, masz gości.

Pogłaskał ją po głowie i właśnie zamierzał odejść, kiedy Wendy zarzuciła mu ręce na szyję i oplótła nogami w pasie.

Kłopotliwą sytuację uratował Carl, który zbliżył się do Culleya i połaskotał małą po policzku.

– Cześć! – powiedział łagodnie. – Przyjdiesz do dziadka?

Wendy rozważała propozycję przez kilka chwil, a potem niechętnie przeniosła małe rączki na ramiona Carla. Margaret zbliżyła się do męża i poklepała ją po plecach. Kiedy dziewczynka łaskawie przyjęła to powitanie, Elizabeth odetchnęła z ulgą.

– Wendy – zaproponowała córce wesoło – pokaż babci i dziadkowi małe kotki.

Margaret i Carl przystali na tę propozycję z entuzjazmem.

– Wendy, masz małe kotki? Wendy skinęła głową.

– Małe kotki. Pokażę wam. Chodźcie. – Carl postawił ją na trawie, wziął za rękę i wszyscy wrócili do kuchni.

Elizabeth rozluźniła się trochę. Nie było aż tak źle, jak się; spodziewała, a zawdzięczała to obecności Culleya. Nawet jeśli mówił niewiele, wystarczyć że stał obok niej i patrzył.

Kiedy Resnickowie, pochyleni nad kocim pudłem, podziwiali jego zawartość, Elizabeth krążyła po kuchni, wystawiając filiżanki, łyżeczki, nakrywając do stołu i przygotowując kawę. Przyszło jej na myśl, że dopiero nieoczekiwana wizyta obcych sprawiła, że poczuła się gospodynią.

Trochę później zagajono rozmowę. Oczywiście jej inicjatorami byli Resnickowie.

– Carl i ja – zaczęła Margaret, rzucając mężowi konspiracyjne spojrzenie – jesteśmy ciekawi, co będzie ze świętem. Wiesz, że wypada w tym tygodniu. Pewnie masz tutaj jakieś plany i zobowiązania – uśmiechnęła się w stronę Culleya. – „Ponieważ Carl i ja będziemy sami, chcielibyśmy, aby Wendy spędziła święto u nas, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

~ Oczywiście, najlepiej byłoby gościć was obie – mówił Carl swoim spokojnym tonem – ale jeśli masz obowiązki, to nie będziemy nalegać.

Kiedy Margaret mówiła, Elizabeth przestała jej słuchać i rozmarzyła się. Zobaczyła siebie w tej kuchni, pochyloną nad piecykiem, żeby wyjąć ogromną złotobrazową indyczkę. Widziała Culleya krojącego drób, smakującego kawałek nadzienia, uważającego na to, by wszędybylskie ręce Wendy nie dotknęły gorącej blachy. Zobaczyła jeszcze, jak Culley podnosi do góry Wendy, fak aby mogła zobaczyć...

– Mamusiu, popatrz na mnie!

– Właściwie miałam już pewne plany... – powiedziała Elizabeth, przecierając oczy.

– Wiemy, moja droga, że będziesz tu na pewno zajęta przygotowaniem obiadu dla doktora Warda. Ja nie mam żadnych obowiązków, bo Hilda i tak zawsze świetnie przyrządzą indyczkę bez mojej pomocy, dlatego możemy poświęcić Wendy całą naszą uwagę.

– Mamo, spójrz na mnie! Margaret westchnęła.

– Carl i ja jesteśmy teraz tacy samotni... Wiesz przecież, że Wendy jest wszystkim, co nam zostało po Kevinie. – Głos Margaret załamał się.

„Ale ona nie jest Kevinem! – chciała krzyknąć Elizabeth. – I nie jest wcale twoją małą dziewczynką, jest moja. „ – Mmusiu!

– Wendy, proszę cię. O, Boże! – Elizabeth podniosła się, aby ratować kociaka, którego jej córka położyła sobie na głowie. – Nie wolno podnosić kotków tak wysoko. – Złapała małą, chwytając ją mocno za ramię i kładąc kociaka do pudła. – Tak nie można. Coś mogło mu się stać. On mógłby umrzeć.

Wendy była zakłopotana.

– Umrzeć?

– To może go boleć – poprawiła się Elizabeth. – Chyba nie chcesz, żeby mu się stało coś złego?

Wendy potrząsnęła głową, jej wargi zaczęły drżeć.

– Elizabeth, ona jest tylko dzieckiem, nie rozumie tego.

– Ona to doskonale rozumie – rzuciła dobitnie Elizabeth, zaciskając zęby. Podniosła córkę i posadziła na krześle. Nieoczekiwanie Wendy zaczęła płakać.

Elizabeth spojrzała na Culleya. Jego ciemne oczy patrzyły na nią badawczo z drugiego końca kuchni.

– Jest zdenerwowana stwierdziła Elizabeth.

– Oczywiście, że jest. Biedne dziecko. Chodź tutaj, aniołku, chodź do babci.

Wendy szlochała coraz głośniejsze.

– Patrz, Wendy, dziadek przyniósł ci prezent. Chcesz zobaczyć? – Carl sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej małą pluszową myszkę. – Powiedz, podoba ci się?

Myszka z rozmachem przeleciała przez kuchnię.

Elizabeth zdała sobie sprawę, że to dopiero początki – przedstawienia. To była jej wina, wiedziała o tym. Zawsze popełniała jakiś błąd, kiedy Resnickowie byli w pobliżu.

– Zabiorę ją na górę – zdecydowała i podniosła płaczącą córkę z krzeselka. Chciała jak najszybciej uciec od atmosfery napięcia i stresu, przenieść się do ciszy i spokoju. – Carl, Maggie, przepraszam was, ale...

– To nic, my i tak musimy już iść – powiedział uprzejmie Carl, gładząc ją po ramieniu. – Margaret? Jesteś gotowa?

– Odprowadzę państwa – zaproponował Culley.

W drodze do drzwi Carl Resnick zatrzymał się i odwrócił.

– Elizabeth, kochanie...

Stała w połowie drogi i spojrzała na niego.

– Przyjedziemy po Wendy koło dziesiątej. Odpowiada ci?

– Dobrze – zgodziła się niepewnie. Zauważyła, że Culley chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Odwróciła się i weszła na schody, trzymając łkające dziecko w ramionach.

Culley poczuł, że znowu ogarnia go gniew. Miał ochotę wziąć Elizabeth w ramiona i potrząsać tak długo, aż by się opamiętała. Niewiarygodne. Na jego oczach wspaniała rudogrzywa lwica zamieniła się w nieśmiałego, przestraszonego zajączka. Nie mógł w to uwierzyć. Zastanawiał się, dlaczego pozwalała tym ludziom na takie zachowanie. Chciał ją o to zapytać.

Okazja nadarzyła się, bo wychodziła właśnie z kuchni z koszem czystej bielizny.

– Słucham? Chcesz coś ode mnie?

– Dlaczego wysyłasz do nich Wendy na święto? – Zauważył, że spojrzała w innym kierunku, przestępując z nogi na nogę. – Przecież nie chcesz tego, prawda?

Zaczęła wchodzić po schodach. Culley przeczesał ręką włosy.

– Do diabła, Elizabeth, jeśli nie chcesz, żeby u nich była, dlaczego po prostu im tego nie powiesz?

Zatrzymała się w końcu.

– Jak mogę im odmówić? Oni stracili jedynego syna.

– Czy nie widzisz, że oni to wykorzystują? Położyła rękę na poręczy i znów zaczęła wchodzić po schodach.

– Cholera, Elizabeth! – krzyknął Culley. – Ty też kogoś straciłaś!

– Nie rozumiesz – wykrztusiła i zaczęła biec do góry.

Targały nim sprzeczne uczucia. Chciał pobiec za Elizabeth, przeprosić ją, wziąć w ramiona, uspokoić, ale z drugiej strony był jeszcze ciągle mocno zagniewany.

Rozdział siódmy

Culley wszedł do laboratorium, mrucząc niezrozumiałe „dzień dobry”. Rzucił teczkę na biurko i usiadł bez żadnego słowa.

– Czy coś się stało, doktorze Ward? – zapytał Mark, ale Culley wyraźnie nie miał ochoty na rozmowę.

Mark Ellerman był jego asystentem. Pracowali razem od ponad roku, więc zdążył się już przyzwyczaić do różnych humorów doktora.

– Dziś, zgodnie z planem, rozpoczynamy badania nad ksenonem – zasygnalizował tylko i umilkł.

Culley spojrzał na zapieczętowaną jeszcze przesyłkę.

– Jesteś żonaty? – zapytał znienacka.

To było coś nowego, ale Mark nie dał się zaskoczyć.

– Jasne.

– Macie dzieci?

– Pewnie. – Uniósł dwa palce i wyprzedzając kolejne pytanie, dodał: – Brent ma dwa latka, a Jessica niedługo skończy cztery.

– Ach, tak... – Culley przekrzywił lekko głowę. Mark czekał cierpliwie na następne pytania.

– Czy mamy tu gdzieś książkę telefoniczną?

– Leży w pańskim biurku. Dolna szuflada. Czego pan potrzebuje?

– Właściwie to sam nie wiem, czego mi trzeba. – Culley przeglądał już spis. – Do kogo byś zadzwonił, jeśli chciałbyś zasypać staw?

– Do mojego szwagra. Poważnie. Jest operatorem koparki. Może załatwić wywrotkę ziemi, kiedy tylko pan zechce.

– Nawet teraz.

– Nie ma problemu. Zadzwonię do niego w porze lunchu, prawdopodobnie będzie wtedy na bazie. – Mark wstał od biurka. – Idę po kawę. Przynieść panu?

– Owszem. – Culley myślał jeszcze o czymś przez chwilę. – Dziękuję ci, Mark. Jestem ci bardzo zobowiązany.

Wrócił do przeglądania książki. Bez celu przerzucał kartki. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. W spisie alfabetycznym szybko odnalazł telefon Carla Resnicka. Zapisał go na kartce wyrwanej z notesu, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Nikt nie odpowiadał. Po chwili spróbował jeszcze raz, ale bez skutku. Odłożył słuchawkę i usiadł wygodnie w fotelu.

Nagle wszystko wydało mu się takie nieskomplikowane. Mógł przecież zadzwonić do Carla Resnicka i powiedzieć mu, że Elizabeth i Wendy zmieniły swoje plany związane ze świętem. I koniec. Poczuł się odprężony, chociaż wiedział, że to jeszcze nie załatwiało sprawy ostatecznie. W końcu Resnickowie byli dziadkami córki Elizabeth. Stanowili część jej życia i Elizabeth musi nauczyć się z tym żyć. Culley pragnął uchronić ją od niebezpieczeństw, ale miał świadomość, że są sprawy, z którymi będzie musiała uporać się

sama.

Ciągle siedział w fotelu i myślał o Elizabeth i Resnickach. Nawet nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia zaczęły go interesować jej problemy.

Wendy obudziła się ze łzami w oczach. Nie pamiętała dokładnie, co jej się śniło, ale była bardzo przestraszona. Czuła się ma lutka i zagubiona. Nie pomogła nawet jej ulubiona zabawka; Chciała przytulić się do kogoś dużego, silnego i ciepłego, do kogoś, z kim byłaby bezpieczna.

Czasami zmarznięta czy wystraszona kładła się z mamą, ale tym razem łóżko mamy nie było dobrym schronieniem. Jeśli nie mama, to kto?

Wtedy przypomniała sobie kogoś jeszcze. Kogoś, kto był duży, silny i nigdy niczego się nie bał – tatusia. Wysunęła się z łóżeczka i postanowiła iść spać do taty. Trochę bała się ciemnego korytarza, dlatego – dla dodania sobie odwagi – zabrała ze sobą kocyk.

Elizabeth obudziła się z przekonaniem, że coś się stało. „Pewno zasnęłam” – westchnęła, zerkając na stojący na szafce budzik. Było wcześnie. Postanowiła jeszcze trochę poleżeć. Nagle zauważyła, że córki nie ma obok niej.

„Coś takiego – pomyślała – czyżby Wendy spędziła całą noc sama?” Poskutkowały zatem tłumaczenia, że takie duże dziewczynki powinny już dawno spać same. Elizabeth uśmiechnęła się do siebie, potem wstała i postanowiła sprawdzić, czy mała się obudziła.

Wendy nie było w łóżeczku – pościel była rozrzucona, brakowało jej ulubionego kocyka. „To dziwne pomyślała – nigdy nie poszłaby spać bez swojego kocyka, ale z drugiej strony, po co miałyby go brać ze sobą?”

Zawołała ją po cichu, żeby nie budzić Culleya, ale nie było odpowiedzi. Zajrzała do łazienki, na balkon, nawet pod łóżko. Jeszcze raz dokładnie sprawdziła cały pokój.

Wendy nigdzie nie było.

Stojąc w mrocznym holu i wsłuchując się w poranną ciszę, spróbowała pomyśleć tak, jak jej córka.

Pierwszą rzeczą, jaka przyszła jej do głowy, była pracownia na poddaszu, pokój pełen zadziwiających rzeczy, które Wendy nazwała zabawkami. Ponieważ Culley pracował do późnej nocy, mógł zatem zapomnieć zamknąć drzwi. Weszła na górę. Wszystko było jednak dokładnie pozamykane.

Teraz pozostał już tylko parter. Kiedy weszła do kuchni, Prissy natychmiast wybiegła jej na spotkanie, zostawiając miauczące maleństwa. Było oczywiste, że tego ranka Wendy jeszcze się tam nie pojawiła.

Elizabeth w końcu wpadła w panikę. Wołając Wendy, otwierała po kolei wszystkie drzwi. Zaczęła sobie powtarzać: „Ona nie mogła nigdzie wyjść, nie mogła nigdzie wyjść, nigdzie... Cholera! Culley zostawia zawsze otwarte drzwi dla kotów!”

A zatem – dokąd poszła, co robi? Może... poszła zerwać sobie pomarańczy? Ogród był przecież ogromny, jest w nim tyle miejsc, w których... Wtedy pomyślała o sadzawce!

Nie bacząc na cienką koszulę, pobiegła szybko na drugą stronę ogrodu, obawiając się najgorszego. Tafla wody spokojnie odbijała promienie listopadowego słońca. Na starej potłuczony fontannie siedziała para gołębi. Wendy nie było.

Drżąc z zimna, Elizabeth zatrzymała się pośrodku alejki. Gorączkowo próbowała zebrać myśli. W końcu ogród był zbyt wielki, żeby mogła sama dobrze go przeszukać. Poza tym przemarzła do szpiku kości. Bolały ją stopy. Najpierw musi się ubrać, a potem być może zadzwoni na policję.

W głowie miała zupełny chaos. Nagle przypomniała sobie o Culleyu. Tylko on mógł pomóc. „On będzie wiedział, co robić” – pomyślała. Będzie musiała go obudzić. Razem na pewno coś wymyślą.

Wreszcie zaczęła działać rozważniej. Weszła do kuchni, nie zauważając nawet, że Prissy domaga się swojej codziennej porcji jedzenia. Wbiegła szybko po schodach. Łapiąc z trudem powietrze, stanęła przed drzwiami sypialni Culleya. Pukała, ale nikt nie odpowiadał. Otarła pot z czoła i nacisnęła klamkę.

Wychodzące na zachód okna pokoju nie wpuszczały wiele światła. W sypialni było mroczno, ciemno i cicho. Słyszała jedynie równy, spokojny oddech Culleya. Wolno zbliżyła się do łóżka. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

Culley leżał wygodnie na łóżku, cicho pochrapując. Do połowy przykryty był kocem. Na jego piersiach leżała Wendy.

Elizabeth patrzyła na jego silne umięśnione ramiona, na palce dotykające główki Wendy.

– Moje małeństwo – szepnęła, czując napływające do *jej* oczu łzy.

Wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać policzek córki, ale jej palce wcale nie zbliżyły się do główki dziecka. Mimowolnie dotknęła brody Culleya, a on poruszył się, tak że jej palce znalazły się na jego ustach.

Culley przeciągnął się, otworzył oczy.

– Och... – odezwał się cicho, gdy zobaczył ją siedzącą przy swoim łóżku. Chciał się podnieść, kiedy przypomniał sobie o Wendy. Delikatnie ułożył ją obok siebie, a potem dotknął policzka Elizabeth. – Co się stało? – zapytał. – Twoja twarz jest mokra. Płakałaś?

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc kiwnęła głową i spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Chodź – powiedział Culley, próbując przyciągnąć ją do siebie. Czuł jej szybki, ciepły oddech na swoim policzku. – Już dobrze. No, chodź do mnie i powiedz, co się wydarzyło. Ależ ty jesteś cała zmarznięta – w jego głosie usłyszała zatroskanie. – Cała się trzęsiesz.

Gdzie byłaś, Elizabeth? Chodź do mnie. Musisz się przecież ogrzać.

„Chodź się ogrzać...” – Boże, gdyby tylko mogła. To byłoby cudowne leżeć obok niego, czuć jego silne ramię, ciepło przenikające ją całą.

Elizabeth wahała się przez chwilę, jednak nie zmieniła miejsca i siedząc bez ruchu, wpatrywała się w swoje dłonie splecione na kolanach.

Culley obserwował ją przez cały czas.

– Przepraszam – rzekł cicho – chyba się jeszcze nie obudziłem.

Spojrzał na Wendy. Mała westchnęła, potem przewróciła się na drugi bok i spała dalej. Wstał i naciągnął sobie pled na plecy.

– Przepraszam – powtórzył. Tym razem jego głos był delikatny i ciepły. Patrzył jej prosto w oczy.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Gdzie byłaś? Wychodziłaś do ogrodu? Kiwnęła potakująco głową.

– Tak. Nigdzie nie mogłam znaleźć Wendy. Nie przypuszczałam, że... – Jej głos załamał się. Mogła tylko wskazać ręką na niego i dziecko śpiących w jednym łóżku.

– Rozumiem. Powinienem ją odnieść w nocy z powrotem. Właściwie nawet o tym nie pomyślałem. Pracowałem bardzo długo i byłem już tak zmęczony, że...

– Teraz już wszystko się wyjaśniło. – Elizabeth zamknęła oczy. Czuła łzy spływające po policzkach.

– Nie płacz, proszę. – Culley starał się wytrzeć jej twarz. Elizabeth pozwalała mu przesuwając dłonie po swoich policzkach, a potem po szyi.

– Chodź do mnie... , Ogarnęło ją elektryzujące ciepło. Culley przytulał ją coraz mocniej, obejmował za szyję, gładził palcami ramiona.

– Już wszystko dobrze. Proszę cię, nie płacz... Kiedy wreszcie przestała drzeć, zdała sobie sprawę, że jego skóra jest wilgotna i słona, gdy dotyka jej ustami, a jej ręka leży na jego piersi, jakby sama chciała zacząć odkrywać jego ciało.

– Elizabeth... – To już nie był szept, to była cicha prośba. Objął ją znowu. Delikatnie ujął jej twarz. Zgadając się na wszystkie nie wypowiedziane przez niego życzenia, zwróciła się ku niemu z ufnością. Patrzył na pełne, jeszcze wilgotne od łez usta. Zbliżył się wolno i oddał im cały swój żar.

Jego wargi były silne i delikatne. Nie próbowała, nie chciała mu się opierać. Rozchyliła bardziej usta, czekając na jego pieszczotę; przepelniona radością. Spełniały się jej wszystkie tak pilnie do tej pory ukrywane życzenia i tęsknoty. Nie chciała zakłócić tych chwil szczęścia najmniejszym nieodpowiednim ruchem.

Nagle usłyszeli dziwny warkot. Zamarli na chwilę bez ruchu.

– Co to może być? – powiedziała, odpychając go delikatnie.

W tym samym czasie Wendy wygrzebała się spod swojego kocyka. Usiadła na łóżku i przecierała oczy.

– Co to, mamó? Co to jest? Elizabeth stała przy oknie.

– Ja też, mamó! Chcę widzieć! – zawołała Wendy, zeskakując z łóżka.

Elizabeth była zbyt zaaferowana, żeby poprawić córkę, i bez słowa wzięła ją na rękę. Mała stanęła na parapecie i przyklejając palec do szyby, powiedziała z dumą:

– Wendy wie: to jest wywrotka.

Culley też podszedł do okna.

– A zatem Mark nie żartował.

Elizabeth spojrzała na niego, całkiem zdezorientowana.

– Co ona tu robi?

– Zamówiłem ją. Nie wiedziałem tylko, że będą tak wcześnie.

– Zaraz, nic z tego nie rozumiem. Po co ci tyle świeżego piachu?

Spojrzał znowu za okno.

– Zasypię sadzawkę w ogrodzie.

– Zasypiesz sadzawkę? Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł? – Elizabeth patrzyła na

niego, czekając na wyjaśnienia.

– Nie chcę, żeby powtórzyła się tamta historia. – Culleya zaczynały już irytować te tłumaczenia. – Dlaczego – jesteś zdziwiona, przecież mówiłem ci wcześniej, że mam zamiar to zrobić.

– Tak, ale... – Nagle zabrakło jej argumentów. – Nie przypuszczałam, że będziesz o tym pamiętał.

To miał być żart. Elizabeth miała nadzieję, że Culley uśmiechnie się do niej, ale on tylko spojrzał na nią zimno, wręcz surowo.

– Pamiętaj, że ja nigdy nie zapominam o ważnych sprawach.

– Dobrze, ale wydaje mi się, że zasypanie jest zbyt radykalnym rozwiązaniem.

– Zbyt radykalnym? – Culley uniósł wysoko brwi. – Ta piekielna sadzawka jest przecież niebezpieczna.

– Ale to jest twój dom. My tu jesteśmy tylko...

– Słuchaj – przerwał jej szorstko – wy tu mieszkacie, więc teraz jest to również wasz dom. Nie chcę, żebyś ciągle musiała martwić się z powodu jakiejś tam sadzawki.

Odwrocił się i wyszedł szybko z pokoju. Usłyszała jedynie odgłos zamykanych drzwi do łazienki.

– Gdzie poszedł tata, mamusiu?

Elizabeth nie słyszała tego pytania. Stała przy oknie i patrzyła na wyjeżdżającą wywrotkę. Nerwowo skubała brzeg koronki przy swojej nocnej koszuli. „Nigdy nie zapominam o ważnych sprawach... „

Nie rozumiała do końca, co się z nią dzieje. Czuła radość, ogromną radość i ulgę. Nareszcie miała swoje miejsce, nareszcie znalazła schronienie. Wydawało się jej, że po raz pierwszy postawiła stopę na lądzie po długiej, niebezpiecznej morskiej podróży. Była bezpieczna i szczęśliwa. „To jest teraz twój dom...”

Elizabeth porwała Wendy w ramiona. Tańcząc i śpiewając wesoło, wróciły do swojego pokoju.

W tym czasie Culley zdążył wziąć prysznic i ogolić się. Kiedy zszedł na dół, zastał je siedzące na schodach. Obserwowały, jak ostatnie grudy ziemi spadają na miejsce, które jeszcze przed chwilą było sadzawką.

– Co się dzieje, maleńka? – zapytał Culley, siadając przy Wendy i głaszcząc ją delikatnie po główce.

– Martwi się o żabki. Boi się, że nie będą miały gdzie mieszkać.

Culley patrzył na błyszczące oczy Elizabeth, na jej różowe policzki osmagane porannym wiatrem, na rozwiane włosy. Musiał użyć całej siły, aby powstrzymać się i nie przyciągnąć jej do siebie.

Przypomniawszy sobie, jak jeszcze przed chwilą siedziała przy jego łóżku, wystraszona, z oczami pełnymi łez. Widział jej obnażone ramiona, piersi zarysowane pod delikatną bawełnianą koszulą. Czuł jej usta, drżące delikatnie, gdy je całował. „Jak długo jeszcze – myślał – będę w stanie trzymać się od niej z dala?”

– Chodź, malutka – odezwał się do Wendy. Wziął ją na ręce i zszedł po schodach. Mała

była wyraźnie przygnębiona. – Zapomnij o żabkach. One potrafią znaleźć sobie nowe mieszkania. A teraz chodź, pokażę ci coś, co ci się na pewno bardzo spodoba.

Poszedł z nią zwirową alejką aż do miejsca, gdzie akurat zakończono zasypywanie sadzawki. Wendy pomachała odjeżdżającym robotnikom i spojrzała na usypaną ziemię. „Żabki już na pewno sobie poszły” – pomyślała.

Culley wziął do ręki garść żółtego piasku.

– Wiesz, co to jest? – zapytał, przesypując go z ręki do ręki. – To jest najczystszy piasek, jaki kiedykolwiek widziałas. Urządzimy tu piaskownicę. Będziesz mogła się tu bawić, budować zamki i robić ogromne piaskowe babki. Dzieci to uwielbiają, prawda? A później będziemy hodować tu kwiaty. Mam nadzieję, że mi pomożesz. Zasadzimy bratki, dobrze?

Culley rozmawiał z Wendy, ale ciągle widział przed sobą twarz Elizabeth – roziskrzone oczy i cudowne usta, które nie tak dawno całował.

Po chwili zauważył, że nie ma jej w pobliżu. Bez jej bliskiej obecności poranek wydał mu się nagle szary i zimny – jakby słońce w jednej chwili schowało się za chmury.

Kiedy wreszcie udało mu się namówić dziecko na wyjście z piaskownicy, poszli razem na śniadanie. Wchodząc do kuchni, zauważył, że Elizabeth akurat odłożyła słuchawkę telefonu.

– Kto dzwonił? – zapytał i podprowadził Wendy do zlewu, by mogła umyć sobie ręczki.

Elizabeth odwróciła się. Była czymś bardzo zdenerwowana.

– Resnickowie – odpowiedziała. – To ja do nich dzwoniłam. Powiedziałam im, że rozmyślałam się i chcę, żeby Wendy spędziła święto ze mną.

Culley odetchnął głęboko.

– To wspaniale, bardzo się cieszę. Naprawdę. A jak na to zareagowali? – zapytał, chowając przed Wendy butelkę z płynem do zmywania naczyń.

– Nie byli zachwyceni. – Elizabeth podawała śniadanie. – Czy to nie przeszkodzi twoim planom? Nie wiem, co zamierzałeś robić w czasie święta. Może miałeś w planie uroczysty obiad z przyjaciółmi i znajomymi? – zapytała.

– Ależ nie! Zwykle spędzamy święto tylko we dwoje, matka i ja. Nigdy nie organizujemy wystawnych przyjęć. – Culley mówił spokojnie i rzeczowo, ale wyobrażał sobie coś zupełnie innego, Widział siebie i Elizabeth siedzących przy stole w salonie, jej oczy rozświetlone blaskiem świec, włosy mieniące się różnymi kolorami miedzi, usta zbliżające się do kieliszka z winem... Wznoszą toast nad apetycznie zrumienionym indykiem, a Wendy niecierpliwie uderza łyżeczką o talerzyk... Potem mała śpi spokojnie w swoim łóżeczku, a oni kochają się tkliwie i namiętnie...

Rozdział ósmy

Telefon zadzwonił w świąteczne popołudnie, w chwili gdy Culley pomagał Elizabeth sprzątać ze stołu.

– Halo, Gregory – powiedział cichy, dochodzący z daleka głos. – Jak się masz?

– Kto mówi? – Culley spojrział na Elizabeth, która stanęła właśnie w drzwiach ze stertą brudnych naczyń.

– Nie wygłupiaj się, Gregory. Dzwonię specjalnie, aby złożyć ci życzenia z okazji święta.

– To ty, mamó? Miło, że pamiętałaś. Dziękuję. Elizabeth spojrzała na niego znad zlewu.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Skąd dzwonisz? Strasznie słabo cię słyszeć!

– To chyba wina twojego telefonu, kochanie. Jestem na Tahiti.

– Tahiti! – powtórzył za matką. – Nie wiedziałem, że tam są telefony.

– Wierz mi, ten jest szczytem zbytku i luksusu. Lecz nie marnujmy czasu na sarkazm, Gregory.

– Przepraszam, mamó – śmiał się Culley. – Naprawdę bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś. Dostałem twoją pocztówkę z Acapulco. Jak spędzasz czas? Dobrze się bawisz?

– Bawię się świetnie. Nie miałam pojęcia, że tu jest tak dużo małych cudownych wysepek. Kochanie, chcę wiedzieć, jak wam leci. Jak tam Elizabeth?

– Ma się dobrze. Jest tutaj i pozdrawia cię serdecznie. Elizabeth stała pochylona nad zlewem.

– To cudownie, dziękuję. Pozdrów ją także ode mnie. A Wendy?

– Świetnie. Jest na górze, śpi smacznie. – Spojrział pytająco na Elizabeth, która skinęła głową i podniosła oczy do nieba z dziękczynnym wyrazem twarzy.

– Uściskaj ją ode mnie. Jest taka słodka, taka kochana, prawda?

„Tak – pomyślał Culley – szkoda, że nie mogłaś zobaczyć, jakie przedstawienie urządziła dzisiaj, kiedy próbowaliśmy wyciągnąć ją z błota. „

– Elizabeth ma więc pewnie chwilę wytchnienia. Prawdopodobnie sprawdzasz, czy umie gotować?

– O, tak – stwierdził Culley, mrugając do Elizabeth – umie gotować. Robi to świetnie.

– Cieszę się, że wszystko dobrze. Niedługo opuszczam to miejsce, płyniemy na następną wyspę. Och, byłabym zapomniała, zmieniłam zdanie co do Singapuru.

– Ale chyba wrócisz na Boże Narodzenie?

– Nie jestem pewna. Wiesz, poznałam bardzo miłe małżeństwo z Sydney... „

– Australia?

– Tak. Zaprosili mnie do siebie. A potem Nowa Gwinea i Nowa Zelandia. Na razie chyba wystarczy.

– Aha – powiedział Culley powoli.

– Nie martw się, kochanie. Przeżywam najpiękniejsze chwile w moim życiu. Bardzo tęsknię za tobą, ale wiem, że święta z Elizabeth i Wendy będą wspaniałe. Muszę już kończyć.

Do widzenia, kochanie, uważaj na siebie. Przyślę ci kartkę z Nowej Gwinei!

– Dzięki. – Culley odwiesił słuchawkę.

Boże Narodzenie spędzone wspólnie z Elizabeth i Wendy? Ta sprawa zaprzętała mu głowę od kilku ostatnich dni. Wprawdzie starał się nie myśleć o Elizabeth i rzadko ją widywać, ale wspomnienia wracały niezależnie od tego, czym się zajmował. Dopadały go w laboratorium, przed komputerem, przy drukarce. Spotykał ją tylko wczesnym rankiem, zawsze z córką. Wracał do domu późnym wieczorem, dopiero wtedy gdy szła spać. Porozumiewali się przy pomocy kartek pozostawianych na stoliku w korytarzu albo przyczepianych do lodówki.

„I dzięki Bogu – powiedział sobie – nie ma niebezpieczeństwa przypadkowego spotkania.” Pryszyce w obu łazienkach działały bez zarzutu, a nocne spacerunki Wendy zostały definitywnie zakończone.

Culley pytał siebie setki razy, dlaczego zachowuje się w ten sposób. Dlaczego miał problemy z przebywaniem w towarzystwie tej cudownej, pełnej wdzięku kobiety? „Swoje zachowanie próbował tłumaczyć wychowaniem, jakie otrzymał w tym niewiarygodnie staroświeckim domu, hołdującym tradycjom epoki wiktoriańskiej. Rozmyślał o pasującym do tej sytuacji schemacie. Młoda wdowa z małym dzieckiem, walcząca o wyzwolenie się spod wpływu teściów, bez nadziei na dobrą pracę i mieszkanie, wynajęta przez matkę znanego naukowca do pracy w domu, a potem uwiedziona przez niego. Nie. Nie może być o tym mowy, to nie w jego stylu.

Setki razy układał w myślach wspaniały scenariusz, próbując uciszyć głos sumienia i usprawiedliwić swe pragnienia: chciał zanieść Elizabeth do swego łóżka i kochać się z nią przez całą noc na wszystkie znane sposoby – powoli i czule, słodko i zmysłowo, z pasją i namiętnie. Pragnął czuć jej gładkie smukłe ciało pod sobą, jej nogi splecione ze swoimi. Chciał ukryć twarz w jej włosach, czuć dotyk delikatnych rąk i czułych ust na rozpalonym ciele.

Podobne rozważania snuł podczas wielu bezsennych nocy. „To śmieszne – myślał – żeby człowiek mający do czynienia na co dzień ze skomplikowanymi problemami naukowymi, posługujący się z łatwością wyższą matematyką, nie potrafił rozwiązać najprostszego z równań: jeden plus jeden równa się dwa.”

Pocieszał się, że sytuacja mogłaby ulec zmianie, gdyby upłynęło wystarczająco dużo czasu, aby rany Elizabeth zabiły się i mogła zaryzykować nowy związek, który by ją wzmocnił i uwolnił od teściów.

Jest na to tylko jeden sposób: trzymać się od niej z daleka.

Ale przecież nadchodziły święta!

Uprzytomnił sobie, że do tej pory nic nie wie o jej świątecznych planach. Nie wiedział nawet, czy ma jakąś rodzinę. Nigdy o nikim nie wspominała, z wyjątkiem Resnicków. Pamiętał tylko, że jest jedynaczką. Rozmawiali ze sobą kilkakrotnie, ale na ogół to on opowiadał o sobie. Lubiła słuchać opowieści o jego dzieciństwie i dorastaniu w tym domu. Przed oczami pojawił mu się obraz z dawnej epoki: Wendy w czerwonym aksamicie i koronkach, Elizabeth w zielonej sukni ukazującej dyskretnie kremowobiałą „szyję i ramiona.

Widział siebie dotykającego ręką jej odsłoniętych pleców, prawie słyszał śmiechy i dźwięki kolęd.

– Czy coś się stało? Co mówiła? – zapytała Elizabeth, przypatrując mu się z zatroskanym wyrazem twarzy. Culley zdał sobie sprawę, że musiał, stać przez dłuższą chwilę bez słowa, zapatrzony w telefon.

– Proszę? Ach, tak. Mama nie wróci na święta. Jedzie do Australii.

– Tak mi przykro... – powiedziała Elizabeth cicho. – Na pewno jesteś rozczarowany.

– Nie, niekoniecznie. Właśnie zastanawiałem się, jakie t y masz plany na Wigilię.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Nie mam żadnych.

– A twoja rodzina?

– Nie mam nikogo oprócz rodziców.

– Co się dzieje z nimi? Nie chcesz się z nimi spotkać?

– dopytywał się Culley.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno.

– Nie. Nie widziałam ich już bardzo dawno.

– Nie lubisz mówić o sobie, prawda? Elizabeth spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie ma o czym – odpowiedziała. – Po prostu... Moi rodzice od lat żyją samotnie. Teraz są w Phoenix – r mama mieszka u swojej siostry, żeby być blisko taty. On jest... – Zakaszłała i zakończyła niewyraźnie: – ... w domu. Nawet by mnie nie poznał, gdybym do niego pojechała.

Culley podszedł do niej, wyjął jej ręcznik z rąk.

– To coś poważnego?

Skinęła głową, patrząc na niego.

– To się zaczęło, kiedy byłam w szkole. Dlatego wyjechałam na studia do Kalifornii. Było mi trudno – powiedziała łamiącym się głosem – widzieć go w takim stanie. Moja mama była wykończona, próbowała ze wszystkich sił zatrzymać rozwój choroby, ale na próżno. Nie mogłam tego znieść. – Potrząsnęła głową i powiedziała stanowczo; – Wciąż nie mogę, więc.

– Więc chyba będziemy spędzać tę Gwiazdkę razem?

– rzekł Culley w trakcie wycierania talerzy. „Tak wiele spadło na jej barki – pomyślał. – Nie powinna walczyć z tym sama. „

– Na to wygląda. – Wspaniale, ty, ja i Wendy. To pewnie będą dla niej pierwsze prawdziwe święta? W zeszłym roku była jeszcze chyba zbyt mała, żeby coś zrozumieć, prawda?

Skinęła głową, patrząc na swoje ręce zanurzone w pianie. Culley nie mógł znieść dłużej jej bezradności. Odłożył ręcznik i zmusił Elizabeth do spojrzenia na siebie.

– Wiem, że to trudne – wymawiał słowa bardzo wolno. – Chcę, żebyś wiedziała, że zrobię wszystko, aby ci ulżyć.

Spojrzała na niego ogromnymi, przejrzystymi, błyszczącymi oczami. Poczuł się zagubiony.

– Musimy pomyśleć o Wendy. Gwiazdka jest przede wszystkim dla dzieci. Kupimy

choinkę, ubierzemy ją. Hej, to będzie dopiero...

Urwał, ponieważ Elizabeth potrząsnęła przecząco głową i uwolniła się z jego uścisku.

– Nie, nie. Ty nie rozumiesz.

– Elizabeth, możesz mi nie wierzyć, ale ja to naprawdę rozumiem!

– Nie. – Jej oczy pociemniały z gniewu i bólu. – Nie rozumiesz. Wendy tutaj nie będzie.

Powiedziałam...

– Resnickowie? – zapytał łagodnie, ale w głębi poczuł żal i rozczarowanie.

Skinęła głową.

– Powiedziałam im, że mogą wziąć Wendy na Wigilię. Miałam tylko jedno wyjście. Musiałam się zgodzić.

– Zgodzić się? – Culley nie wierzył własnym uszom. – Na co? Na wymianę? Co ty właściwie zrobiłaś? Kupiłaś jedno święto za cenę drugiego! Co to za transakcja?

– To nie jest takie proste! – Jej gniew był tylko obroną przeciw jego złości. – Tak, kupiłam od nich dzisiejszy dzień za Wigilię. I tym razem nie zmienię decyzji. Nie mogę. Chcę być w porządku wobec nich, Culley. Im bardzo zależy, aby spędzić ten wieczór z Wendy. Jest przecież ich wnuczką, jest dla nich wszystkim.

Poczuł się zawstydzony. W pewnym sensie miała rację. Wiedział, jak przykra musi być dla niej świadomość, że nie spędzi Wigilii z dzieckiem. Miał tylko nadzieję, że Resnickowie docenią jej poświęcenie.

– Elizabeth, przepraszam cię. – Poglądził ją po policzku. – Zgadzam się z tobą i jeśli chcesz być z Wendy, możesz spędzić Wigilię u Resnicków.

Potrząsnęła głową.

– Nie.

– Jeśli chodzi o mnie, nie musisz się o nic martwić. Dam sobie radę ze wszystkim.

– Nie, to już postanowione. Nie spędzę Wigilii u Resnicków.

– W takim razie będzie nas dwoje.

– Tak – przytaknęła. – Tak sądzę.

Patrzyła na niego, ale właśnie teraz Culley pragnął, aby . odeszła. Jej oczy pełne wyrazu sprawiły, że czuł się jak kapitan tonącego statku.

Starym zwyczajem świąteczne przygotowania osiągnęły szczyt na kilka dni przed Wigilią. Kolędy rozbrzmiewały w sklepach i na ulicach, wystawy były pełne świętych Mikołajów, programy telewizyjne reklamowały świąteczne wspaniałości, poczta przesyłała miliony gwiazdkowych życzeń.

Elizabeth z trudem dostosowywała się do świątecznego nastroju. Wmawiała sobie, że jest cudownie, porównywała teraźniejszość z przeszłością: przecież w zeszłym roku o tej porze przeżywała jeden wielki koszmar, a dwa lata temu mieszkała w jakiejś małej klitce, gdzie drzwi do łazienki były wyłamane od uderzeń pięści Kevina. Od dwóch miesięcy zalegała z czynszem. Telefon był wyłączony. Nie zносиła widoku portmonetki, wiedząc, że Kevin wykrada z niej pieniądze na kokainę. Dwa tygodnie przed świętami wziął jej samochód i zniknął na trzy dni.

Znalazł się potem – w więzieniu – ale przez ten czas nie miała czym zawozić Wendy do

opiekunki i dojeżdżać do pracy i tylko wyrozumiałość szefa uchroniła ją od utraty posady.

Teraz mieszkała w ślicznym starym domu, nie płaciła czynszu, miała miłego, szczodrego pracodawcę i zajęcie, które pozwalało jej być razem z Wendy. Uniezależniła się od Resnicków. To było zbyt cudowne...

W minionym roku, kiedy zabrała córkę na zakupy i chciała jej pokazać świętego Mikołaja, mała zaczęła płakać i domagała się powrotu do domu. Tym razem, oswojona przez książki i telewizję, rozmawiała z nim jak ze starym znajomym. Wtedy Wendy była blada, przestraszona i podejrzliwa wobec obcych – teraz była zdrowa, śliczna, wesoła; zupełnie nie to samo dziecko.

Elizabeth uświadomiła sobie, że chociaż w tym roku nie jest sama, to jest samotna. Dokuczał jej najgorszy rodzaj samotności: być blisko kogoś, ale nie być z nim. Nie rozumiała Culleya. Z drugiej strony, dlaczego właściwie miałyby go rozumieć? Ten człowiek był geniuszem. A geniusze z reguły są ekscentryczni i pełni tajemnic.

– Doktorze Ward, co pan tu robi o tej porze?

Mark Ellerman szedł właśnie korytarzem ze strojem świętego Mikołaja przewieszonym przez ramię. Przez uchylone drzwi pracowni wsadził głowę do środka.

– Wejdz, Mark – zaprosił go Culley i automatycznie odwrócił leżące przed nim kartki z nowym artykułem do „Amerykańskich Problemów Fizyki Jądrowej”. Zwykła ostrożność, chociaż w tym przypadku niekonieczna.

– No wiesz, mógłbyś to zrobić później – komentował Mark, siadając na rogu biurka Culleya. – Nie wiesz, że są święta?

– To będzie świetny początek moich noworocznych postanowień – artykuł na pierwszej stronie „Problemów”.

– Nie masz drukarki w domu?

– Tak. Ale właśnie mam malowanie – skłamał Culley.

– Tak. Wiem coś o tym. – Mark zmarszczył czoło.

– A co u ciebie? – zapytał Culley uprzejmie. – Czemu nie robisz świątecznych zakupów?

Nagle przyszło mu na myśl, że sam także powinien o tym pomyśleć. Z Wendy nie będzie chyba większego problemu, ale co mógłby podarować Elizabeth?

Zdał sobie sprawę, że wciąż niewiele o niej wie. Jakie ubrania i jaką biżuterię lubi? Nigdy dotąd nie widział jej w niczym innym, prócz dzinsów, swetra lub koszulki. Lubi słodczyce? Jakie ma hobby?

– Nie robię – stwierdził Mark z westchnieniem – bo prezenty to domena mojej żony. Ja poprzestaję na głównej roli. – Podniósł rękę z przewieszonym na niej strojem.

– Znów ty?

Mark zachichotał ze smutkiem, klepiąc się po brzuchu.

– To chyba z tego powodu. A już myślałem, że uda mi się z tego wywinąć.

– Byłem pewien, że skończyłeś z tym w zeszłym roku.

– Tak, ale nie mogę zawieść tych biednych chorych dzieci czekających na świętego Mikołaja. Nie, nie mogę – westchnął i wstał ze stołu. – Przedszkole mojej córki organizuje specjalną kolację wigilijną i Jessica bardzo chce, abym był razem z nią. – Szedł już w stronę

drzwi, kiedy coś sobie przypomniał. – Doktorze Ward?

– Tak?

– Doktorze Ward, pomyślałem właśnie... Czy pamięta pan ten dzień i swoje słowa, że będzie mi coś winien?

Elizabeth rozmyślała nad prezentem gwiazdkowym dla Culleya. Wszystkie inne były już kupione. Album w sztywnej oprawie z fotografiami kalifornijskich wybrzeży wysłała rodzicom do Phoenix. Ulubiony tytoń Carla Resnicka i wytworne perfumy dla Margaret leżały zapakowane i gotowe do wręczenia. Dużo energii poświęciła na zdobycie prezentu dla Wendy. Wiedziała, że córka marzyła o lalce z filmu o tajemniczym Rycerzu. Elizabeth trafiła na nią przypadkiem w minionym tygodniu.

Pozostał więc tylko Culley. I tylko jeden tydzień do świąt! Nie wiedziała, co robić. Kłopot polegał na tym, że Culley miał właściwie wszystko. Chciała kupić mu nowy szlafrok, coś lekkiego i eleganckiego, utrzymanego w kolorze ciepłego brązu, z tkaniny pieścżącej jego skórę tak, jak ona nie mogła. ;. Zdawała sobie jednak sprawę, że byłby to zbyt intymny prezent.

Elizabeth nagle usłyszała Culleya wchodzącego do domu.

Było za późno, by mogła ukryć swoją obecność w bibliotece. Usłyszała, że zatrzymał się, zapewne na widok palącego się światła. Unikał jej ostatnio, więc zdziwiła się, gdy podszedł bliżej.

– Cześć – powiedział, wsuwając głowę przez drzwi. – Co robisz o tej porze?

– Szukałam właśnie czegoś do czytania. Nie mogę zasnąć.

– Aha. Chyba coś znajdziesz. W takim razie – dobranoc.

– Dobranoc.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i odszedł. Wtedy Elizabeth zauważyła kostium Mikołaja w jego rękach. Ten fakt ogromnie ją zaskoczył.

Zgasiła światło i poszła do kuchni sprawdzić, co się dzieje z kotami. Były już w tym wieku, że próbowały samodzielnie wydostawać się z pudła. Tej nocy spały spokojnie. Były same, widocznie Prissy wyprawiła się na polowanie w świetle księżyca.

Elizabeth stanęła przy kuchennym oknie. Patrzyła w dal i próbowała uspokoić tęsknoty swojego ciała. Porównywała w myślach, jak ciepły i gościnny wydawał się jej ten dom na początku, a jak zimny i pusty był teraz. „Co się stało?” – dziwiła się, ale dobrze znała odpowiedź. To Culley. To przez niego. Dlaczego taki był? Nie oczekiwała przecież od niego niczego. Była jedynie gospodynią, w dodatku zatrudnioną tylko na jakiś czas. Miała dwadzieścia sześć lat i dziecko. Nie posiadała dużych pieniędzy ani perspektywy zrobienia kariery, ani szczególnych uzdolnień i talentów. Nie skończyła nawet studiów. Tymczasem Culley był „doktorem G. Culleyem Wardem”. Wielkie nieba, jeśli Carl miał rację, to Culley może zdobyć Nagrodę Nobla! „Nie – mówiła do siebie – nie mogę mieć żadnej nadziei. To w ogóle niemożliwe. „

Kiedy dochodziła do schodów, dostrzegła otwarte drzwi do sypialni i łazienki Culleya, a

wewnątrz paliło się światło. Znając swój nastrój tego wieczora, nie była pewna, czy wytrzyma dziś jeszcze jedno spotkanie z nim. Przygotowała się więc do przejścia na palcach po schodach mimo otwartych drzwi. Jej szczerze zamiary zostały udaremnione przez scenkę rozgrywającą się w łazience, która przyciągnęła jej wzrok z magnetyczną siłą.

Stojący nad umywalką Culley był raczej mierną imitacją świętego Mikołaja. Spoglądał krytycznie w lustro.

– Czegoś mi chyba brakuje, nie sądzisz? – zapytał, widząc Elizabeth stojącą w drzwiach.

Rozdział dziewiąty

Elizabeth stała przez chwilę z otwartymi ustami. Z wrażenia nie wiedziała, co powiedzieć.

– Popatrz, tu chyba coś nie pasuje, jakby czegoś brakowało. – Zniecierpliwiony mruczał pod nosem. – Cholera, powinienem był wcześniej o tym pomyśleć. A może włożyć jeszcze poduszkę? – Przeglądał się w lustrze. – Jedno jest pewne: święty Mikołaj musi mieć duży brzuch.

– O tak, poduszki na pewno się przydadzą. – Oparła się o futrynę i patrzyła uważnie. – Czy to ma być jakiś dowcip? Culley, co ty wyrabiasz?

– Muszę wyświadczyć komuś przysługę, obiecałem. Elizabeth, proszę, pomóż mi. Sam nie dam sobie z tym wszystkim rady. – Bezradny wziął ją za rękę i poprowadził do swojego pokoju. – Nigdy wcześniej tego nie robiłem. W ogóle nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Zresztą, spójrz na mnie. Kto mi uwierzy, że jestem Mikołajem? Chyba nawet Wendy nie dałaby się na to nabrać...

Elizabeth z trudem udawało się powstrzymać śmiech. Zakryła ręką usta i przyglądała się Culleyowi, który stał na środku pokoju ze źle przyklejoną brodą, owiniętą długą czerwoną płachtą. Ogromna czapa opierała się na okularach i tylko dzięki temu nie zjechała mu na nos.

– Nie martw się, jakoś sobie poradzimy – powiedziała, starając się ukryć swoje rozbawienie. – Ale powiedz mi, przed kim będziesz występować w tej roli?

– Przed pacjentami szpitala dziecięcego – odpowiedział, unikając jej wzroku. Najwyraźniej deprimowały go takie zwierzenia. – Kilka lat temu razem z kolegami z wydziału zanieśliśmy dzieciakom trochę zabawek. To miał być prezent gwiazdkowy. Tak się zaczęło, odtąd tradycyjnie spotykamy się z nimi każdego roku. Zawsze jest świetna zabawa. Tym razem . mój kumpel, który zwykle jest Mikołajem, nie może pójść z nami. Poprosił mnie o zastępstwo. Cholera, że też dałem się namówić! – Znowu obejrzał się w lustrze. – Boże, co ja teraz zrobię?

– Chodź, spróbujemy tych poduszek – powiedziała Elizabeth, wyciągając spod narzuty dwa małe jaśki.

Po chwili Culley upchnął je za paskiem, zapiął guziki i odwrócił się do niej z niepewną miną.

– No i co? Jak wyglądam?

– Jakbyś miał za chwilę urodzić niedźwiedzia – Elizabeth nawet nie próbowała udawać poważnej. – Zobacz, może ta będzie lepsza? O tak, dobrze. No, jak, lepiej?

Culley spojrzał na nią zza okularów. Nie był zachwycony.

– Jeśli się ruszę, wszystko zaraz się rozleci. Nie, to jest do niczego.

– Wcale nie, tylko trzeba dobrze związać. Wiesz, zrobię ci takie osobiste olinowanie, żeby wszystko trzymało się na swoim miejscu. Zaraz... Może sznurkiem?

– O nie, tylko nie sznurkiem – sprzeciwił się stanowczo. – Przecież będę musiał wytrzymać w tym przebraniu kilka godzin. Dzieciaki będą mi siadać na kolanach, będziemy

tańczyć... Nie, to musi być coś innego.

– W porządku. Poczekaj chwilę, już wiem, co zrobić. Zaraz wrócę.

Elizabeth wybiegła na korytarz i dotarła do pokoju, w którym Grace Ward urządziła pracownię krawiecką. Kiedy sprzątała tam w ubiegłym tygodniu, zauważyła stosy szpilek i nikomu niepotrzebnych agrafek. Zabrała je zaraz wszystkie.

– Popatrz, to powinno rozwiązać problem. Zdejmij na razie ten strój, a potem... – przerwała, bo w tym momencie Culley zrobił dokładnie to, co chciała. Nie przypuszczała, że miał na sobie tylko kurtkę Mikołaja. Kiedy odkleił brodę i ściągnął czapkę, z przebrania pozostały na nim jedynie wielkie spodnie i czarne buty.

Nie wiedziała, jak ma się zachować. Widziała napięte mięśnie regularnie unoszące się przy każdym oddechu. Długie włosy spadały mu na czoło i kark. Przypomniała sobie dotyk jego ciała, zniewalający żar, jaki ją wtedy ogarnął. Znowu usłyszała przyspieszone głucho bicie jego serca, poczuła ciepły oddech na swojej szyi. palce błądzące po jej twarzy, subtelny zapach i trochę zachrypnięty głos szepczący cicho jej imię, a potem delikatny dotyk ust...

Jeszcze chwila, a to pragnienie stanie się silniejsze od niej, musi temu zapobiec. Zaciśnęła mocno pięści. Dłonie miała wilgotne, nogi jej drżały, a piersi unosiły się niespokojnie.

– Co ci jest? – zapytał Culley. Widział, w jaki sposób Elizabeth reaguje na jego ciało.

Przez chwilę stali bez ruchu, zaś sytuacja stawała się coraz bardziej kłopotliwa. W końcu Elizabeth zdecydowała się na najbanalniejszą choćby rozmowę.

– Wiesz co, może spróbujemy pociąć ten materiał na długie wąskie paski i zrobić z nich coś w rodzaju szelek? Przypięlibyśmy je wtedy agrafkami z obu stron i na pewno wszystko by się świetnie trzymało – mówiła bardzo szybko i nerwowo. – Potem można by zrobić coś takiego jeszcze po bokach i wszystko dokładnie przymocować. Jak myślisz?

– Genialne!

Usiadła przy stoliku i zaraz zabrała się do pracy. Najważniejsze, że znalazła wreszcie jakieś zajęcie dla rąk, – Tak powinno być dobrze – powiedziała. – Poczekaj, ja to zrobię... – Delikatnie dotknęła jego ramienia, ale ręce zaczęły jej drżeć i z tego wszystkiego ukłuła go w ramię. – Przepraszam. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Naprawdę nie chciałam.

– Nie ma o czym mówić.

– Poczekaj jeszcze chwilkę, zaraz wszystko skończę. Zorientowała się, że powoli zaczyna tracić kontrolę nad sobą.

Nie mogę tego dalej robić – pomyślała, tnąc następne paski – przecież za każdym razem muszę go dotykać... „,

– A teraz – zwróciła się do niego – przytrzymaj poduszki. Ja wszystko zmierzę. Muszę sprawdzić, jaka długość będzie najlepsza.

Culley stał spokojnie. Jedną ręką trzymał poduszkę, drugą podawał jej agrafki. Elizabeth starała się pospinać wszystkie paski. Tak niewiele brakowało, żeby mogła go dotykać... Jego skóra na pewne była gorąca i napięta. Próbowała wyobrazić ją sobie pod swoimi palcami.

– Dziękuję, teraz już jest dobrze – powiedział Culley i delikatnie poprawił jej zwichrzone włosy. – Żeby tylko inne problemy dały się tak łatwo rozwiązać...

Elizabeth uniosła ze zdziwieniem brwi. Nie zrozumiała go. Culley spojrzał na nią

uważnie i wytłumaczył:

– Nie mam pojęcia, jak zachowuje się święty Mikołaj.

– Ależ to bardzo proste. – Elizabeth poczuła się rozbrojona jego szczerością. – Należy sapać, stękać, a potem opowiedzieć, jaki jesteś zmęczony podróżą z Laponii. Następnie będziesz pytał każde dziecko, czy było grzeczne w mijającym roku. Zresztą, nie widziałeś nigdy Mikołaja?

– Jasne, że tak; ale nie o to chodzi. Nie wiem po prostu, czy ja... – poprawił wystające poduszki – czy się do lego nadaję.

– O, z pewnością. – Elizabeth zachichotała cicho. – Każdy, kto zjeżdża po poręczy, może bez problemu...

– Skąd o tym wiesz? – Culley wyglądał dokładnie jak dziecko przyłapano podczas myszkowania w szafie.

– Przepraszam, chyba niepotrzebnie to powiedziałam...

– Nieważne. Powiedz mi, jak się o tym dowiedziałaś? Chwycił ją za ramiona i od razu wyczuł ich drżenie.

„Ona się czegoś boi – pomyślał. – Czegoś lub kogoś. „ Nie miał czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać, ale czuł się nieswojo. Nie chciał, żeby Elizabeth była skrępowana jego towarzystwem.

– Może wybierzesz się ze mną na tę zabawę. Będziesz towarzyszką Mikołaja, dobrze?

Patrzyła na niego, zdumiona jego propozycją, – Najlepiej chodźmy razem. Wszyscy będą tam z rodzinami – z żonami, dziećmi. Gwarantuję ci naprawdę świetną zabawę.

– Ale, Culley, przecież to będzie Wigilia. Poza tym muszę jeszcze zawieźć Wendy...

– Możemy zabrać ją ze sobą. Na pewno będzie zadowolona. Potem ją odwieziesz do Resnicków. Takie uroczystości w szpitalu nigdy długo nie trwają.

– Sama nie wiem... Nie mam nic odpowiedniego do ubrania.

– Załóż cokolwiek. I tak będziesz ślicznie wyglądać... – Nie mógł powiedzieć nic więcej. Palce Elizabeth błędziły już po jego ciele. Wyszeptał cicho jej imię: – Elizabeth...

Opuścił swoje ręce tylko na chwilę. Elizabeth dotykała jego barków, szyi, mocowała się z przypiętymi agrafkami. Oboje wiedzieli, że właśnie na tę chwilę czekali od tyłu dni. Teraz nie mieli już przed sobą żadnych tajemnic.

Culley zamknął oczy. Dokładnie taką ją sobie wyobrażał: delikatna miękka skóra, pulsująca szyja i spragnione gorące usta. Była taka bezbronna w jego ramionach... Opuścił ku niej głowę. Chciał, żeby jak najdłużej bawiła się jego włosami, to pobudzało w nim wszystkie zmysły i zachęcało do pieszczot. Objął ją mocniej, zanurzył palce w puszystych włosach, potem poszukał jej ust.

Całował ją najpierw łagodnie, potem z coraz większą pasją. Z ochotą i wielkim oddaniem odpowiadała na jego pocałunki. Pragnęła ofiarować mu całą siebie. Była zagubiona, szukająca w jego ramionach ukojenia i bezpieczeństwa.

Dzieliła ich poduszka, która miała imitować brzuch Mikołaja. Z trudem oderwał się od ust Elizabeth szybko wyciągnął zza paska ostatnią przeszkodę. Zapomnieli o Mikołaju, o Wigilii, o wszystkim dookoła...

Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie robili tego wcześniej. Nagle wszystkie skrupuły, wyrzuty sumienia, usprawiedliwienia wydały mu się głupie i dziecinne.

Wsunął ręce pod jej bluzkę. Dotykał piersi, których brodawki stawały się pod jego palcami twarde i naprężone. Gładka skóra Elizabeth przyprawiała go o dodatkowe dreszcze rozkoszy. Ustami i językiem odkrywał smak jej szyi, ramion i piersi.

Elizabeth odchyliła się do tyłu. Bała się poruszyć, żeby nie przerwać niesamowitych pieszczot jego rąk. Chciała czuć go blisko siebie, w sobie. Jęknęła cicho. Culley trzymał ją w ramionach, a ona bez słów błagała o więcej. Delikatnie zdjął jej bluzkę. Nigdy nie przypuszczał, że jej ciało może zrobić na nim takie wrażenie. Widział, że jest gotowa, że teraz chce już tylko jednego, do końca...

Nagle usłyszeli czyjeś kroki. Nie mieli nawet czasu, żeby się czymkolwiek okryć, gdy w uchylonych drzwiach pojawiła się Wendy.

– Co robisz, mamusiu?

Elizabeth wstrzymała oddech i ukryła twarz w ramionach Culleya.

Stał nieruchomo, bez słowa. Czowała tylko jego zdenerwowanie, słyszała, jak szybko i głośno bije jego serce. Ciągle trzymał ją w objęciach. Chciało się jej płakać.

– Elizabeth... – szepnął, unosząc lekko głowę. Spojrzał jej prosto w oczy i opuścił ręce.

Wendy ciągle stała w drzwiach. Była przestraszona. Kurczowo ścisnęła swój kocyk i ulubionego misia.

– Och, kochanie... – Elizabeth zwróciła się do niej czule, ale nagle, gdy zabrakło jej silnych ramion Culleya, z trudem potrafiła utrzymać się na nogach.

– Co robisz, mamo? – zapytała Wendy jeszcze raz sennym głosem. Wszystko wskazywało na to, że jutro na pewno niczego nie będzie pamiętać. Teraz trzeba ją było tylko szybko zanieść do łóżka.

Spojrzała na Culleya przeproszającym wzrokiem, wzięła córkę na ręce i poszła do sypialni. Ułożyła ją wygodnie w łóżku i pogłaskała delikatnie.

– Spij, kochanie. Mikołaj przychodzi tylko do tych dzieci, które nie wychodzą w nocy ze swoich łóżeczek.

Zamknęła drzwi i zdenerwowana wróciła do pokoju Culleya.

– Co teraz zrobimy? – zapytał cicho.

– Pytałeś mnie już kiedyś o to, pamiętasz?

– Elizabeth... – Culley zbliżył się do niej i wziął ją w objęcia. Znowu byli razem. Wszystko inne pozostało poza nimi, gdzieś bardzo daleko... – Elizabeth, musimy o tym porozmawiać.

– Porozmawiać? – W jednej chwili opuścił ją dobry nastrój. – A o czym mielibyśmy akurat teraz rozmawiać?

Ręce Culleya ciągle gładziły jej włosy. Ta cudowna pieszczota stawała się obecnie nieznośną torturą. Starła się uwolnić z jego objęć.

– Culley, proszę... Jestem bardzo zażenowana twoim pytaniem.

– Wiem – powiedział łagodnie. – Rozumiem.

Dla Elizabeth było jasne, że w ogóle nie wiedział, o co jej chodzi. „To ty – chciała

krzyczeć – ty doprowadzasz mnie do obłądu, a ja nawet nie wiem, co do mnie czujesz! Nie wiem, czego oczekujesz ode mnie, nie wiem, kim mam dla ciebie być.”

Brakowało jej odwagi, żeby opowiedzieć mu dokładnie o swoich odczuciach. Bała się żądać, od niego takiej samej szczerości, jaką ona gotowa była mu ofiarować.

Cały czar prysnął. Obejmował ją, pieścił, zasypywał pocałunkami, ale ona nic nie czuła. Automatycznie oddawała mu pieśczoły, a przecież tak niedawno pragnęła dać mu wszystko...

Teraz, kiedy patrzyła mu w oczy, był dla niej Culleyem... Nie! – znów był przede wszystkim doktorem Wardem, a ona tylko pomocą domową! Jak mogłam mu powiedzieć, że jest w nim zakochana? Szczególnie, jeśli nie miała w tych sprawach większego doświadczenia?

– Wiem, że odczuwasz zażenowanie... Przepraszam. – Już jej nie dotykał. Poprawił włosy, spojrzal na nią przeciągle i wyszedł z pokoju. Na korytarzu zatrzymał się i odwrócił do niej. – Elizabeth, mimo wszystko, chodź ze mną do szpitala. Twoja obecność pomogłaby mi ogromnie.

Tym razem w jego głosie była... Nie, nie miała odwagi, żeby w to uwierzyć. „Może to tylko moja fantazja?” – pomyślała. Zamiast odpowiedzi skinęła nieznacznie głową. „Święta... Co za ironia losu! – pomyślała gorzko, patrząc, jak zamyka drzwi swojej sypialni. – Dla mnie to najbardziej smutny czas w roku... „

Trwały intensywne przygotowania do świąt.

Elizabeth kupiła duże zielone drzewko, które jej córka z wielkim zapałem ozdobiła zabawkami znalezionymi w schowku pod schodami. W jadalni i salonie ustawiła ozdobne świeczniki, w drzwiach wejściowych zawiesiła piękne zielone girlandy. Kolorowe kokardy związane wzdłuż poręczy schodów i powtykane wszędzie gałązki pachnącego jałowca dopełniały świątecznego nastroju. Na koniec kupiła jeszcze jemiołę, którą po wielkim namyśle przymocowała na drzwiach biblioteki. Tam wyglądała najlepiej.

W tych dniach Culley pracował dłużej niż zwykle. Elizabeth widywała go tylko rano przy śniadaniu, ale nigdy nie byli sami. Wendy nie odstępowała Culleya na krok. Zresztą, Elizabeth i tak miała bardzo dużo zajęć. Upiekła ciasto z dyni, jabłecznik, potem jeszcze tort orzechowy. Przygotowała kolorowy lukier, którym wspólnie ozdobiły świąteczne ciasteczka. W szafie leżał już pięknie opakowany prezent dla Culleya. Nie mogła się doczekać, kiedy położy go pod choinką.

Dwa dni przed świątami znalazła na strychu starą maszynę do szycia. W krótkim czasie uszyła bawełniane powłoczki na poduszki dla Mikołaja. Potem zajęła się swoją garderobą i po długich poszukiwaniach wyjęła z szafy starą sukienkę, pamiętającą czasy szkolnych balów. Sukienka była zielonego koloru, z usztywnianą spódnicą, wciętą talią i z gorsetem podkreślającym biust.

Może nie spełniała wymogów najnowszej mody, ale na pewno doskonale nadawała się na świąteczny bal w szpitalu. Całe szczęście, że pasowała na nią idealnie, bowiem nie stać jej było na żaden nowy wydatek. A tak bardzo chciałyby mieć elegancką czarną sukienkę, którą oczarowałyby Culley a...

W Wigilię Culley pracował do południa, potem pojechał do szpitala, żeby pomóc w przygotowaniu dekoracji sali balowej. Wziął ze sobą strój Mikołaja, który zostawił już na miejscu.

Kiedy przyjechał do domu, miał tylko kilka minut na prysznic i zmianę ubrania. Wendy wybiegła mu na spotkanie, gotowa do wyjścia. Miała na sobie białą sukieneczkę przewiazaną w pasie czerwoną wstęgą, czarne lakierki i dużą wstążkę we włosach.

– Tatusz przyjechał! – zawołała z taką radością, że Culley poczuł się wobec niej winnym tych wszystkich późnych powrotów, kiedy nie mógł się nawet z nią przywitać.

– Cześć, maleńka – powiedział wesoło. – Wyglądasz ślicznie. Z jakiej to okazji?

– Wendy idzie spotkać się ze świętym Mikołajem. – Była bardzo podekscytowana tym faktem i ani przez chwilę nie mogła ustać spokojnie.

– Ty? – Udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

– Tak. Jestem przecież grzeczną dziewczynką.

– Oczywiście. Jesteś kochana, wiesz?

– Wiem. – Kiwnęła szybko główką.

Z góry dobiegł go odgłos kroków. Podniósł głowę. Elizabeth akurat schodziła na dół, a on nie mógł się na nią napatrzeć. Sukienka doskonale uwypukliła zalety jej sylwetki. Pierwszy raz widział jej smukłe zgrabne nogi zupełnie odsłonięte. Wyglądała cudownie.

– Jak ci się podobam? – zapytała niepewnym głosem, wskazując gestem na swój strój. Złotoczerwone loki spadały jej na ramiona i jak płomień otaczały twarz, – Wyglądasz bajecznie. Wprost brak mi słów.

– Niechętnie oderwał od niej wzrok i poprosił: – Poczekaj tu chwilkę.

Z samochodu przyniósł teczkę, którą postawił na stoliku. Otworzył szary zamek i wyjął dwa niewielkie, elegancko zapakowane pudełeczka. Jedno owinięte było w czerwony papier w złote orchidee, z drugiego uśmiechał się Kaczor Donald w czapie Mikołaja.

– Proszę – powiedział. – To dla ciebie. Miałem dać ci później, ale pomyślałem, że teraz... Zresztą, zobacz sama.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– To... To jest dla mnie?

– Oczywiście. Otwórz, proszę.

Jeszcze nigdy odpakowanie prezentu nie sprawiło jej tylu kłopotów. Miała wrażenie, że palce odmawiają jej posłuszeństwa. Zerknęła na Culleya, jakby się bała, że to wszystko jest złudzeniem. A on czuł się dokładnie tak, jak wtedy, gdy miał jedenaście lat i ze wszystkich sił próbował pocałować swoją sąsiadkę.

– Och!... – W głosie Elizabeth był najprawdziwszy w świecie zachwyty. – To jest... cudowne!

– Ja też chcę zobaczyć, mamusi!

Elizabeth wyjęła z pudełeczka piękny złoty medalion.

– Miałem poczekać z tym do jutra, ale będzie pasował do tej sukienki. – Czuł się trochę zakłopotany.

– Jeśli chcesz, mogę służyć pomocą.

Bez słowa podeszła do niego, pozwalając mu zapiąć łańcuszek. Ręce mu się trzęsły. Odgarnął delikatnie jej włosy i na moment dotknął szyi. Aksamitność skóry znowu podziałała na niego jak najsilniejszy narkotyk.

– Mam jeszcze jeden, mniejszy – dla Wendy. Nie wiem tylko, czy dać jej teraz, czy lepiej, żeby to zrobił Mikołaj – wyszeptał do ucha.

– Daj teraz. Ona wie, od kogo są prezenty. A poza tym, też ma dla ciebie niespodziankę.

Culley kiwnął głową, wziął paczuszkę z Donaldem i wręczył ją uroczyście.

– Wesołych świąt, kochanie. To jest dla ciebie. Chciał jeszcze pomóc jej rozpakować podarek, ale ustąpił przed zniecierpliwieniem Wendy.

– Ja sama – zdecydowała i szybko zaczęła rozwiązywać wstążkę. – Taki jak mamusi! – zawołała z radością i poprosiła, by Culley również jej zapiął łańcuszek na szyi.

– Zobacz, Wendy, wisiorek ma tutaj specjalne zapięcie. Będiesz mogła chować w nim swoje małe skarby. Może zdjęcie mamy?

– I taty – dodała stanowczo.

– Wendy – odezwała się Elizabeth – my chyba też damy dzisiaj Culleyowi prezent. Pamiętaj, położyłaś go pod choinką.

Wendy wybiegła z pokoju i zaraz wróciła z małą paczuszką, którą wręczyła Culleyowi. Potem wdrapała się mu na kolana i czekała, aż ją wreszcie otworzy.

– To jest filiżanka dla taty. – Nie wytrzymała i zdradziła wcześniej.

W pudełku była rzeczywiście duża filiżanka ozdobiona obrazkiem Tajemniczego Rycerza i jego ukochanej księżniczki Kerissy.

– Wendy wybrała ją specjalnie dla ciebie. Prawda, kochanie?

Mała kiwnęła główką i uśmiechnęła się nieśmiało. Culley przytulił ją do siebie.

– To najpiękniejsza filiżanka, jaką kiedykolwiek miałem. Od dziś tylko z niej będę pił kawę – powiedział wzruszony i nie chcąc zdradzić się ze swoimi emocjami, wstał. – Teraz szybko muszę wziąć prysznic i zmienić ubranie. Przecież nie możemy się spóźnić!

Elizabeth i Wendy czekały w salonie, oglądając filmy rysunkowe. Kiedy usłyszały jego kroki, wyłączyły telewizor i zaczęły szykować się do wyjścia. Elizabeth zawiązywała akurat córce czapkę, gdy Culley zszedł ubrany w swój odświętny garnitur.

– Jesteśmy gotowe – powiedziała Elizabeth, sięgając po płaszcz, ten sam, który miała na sobie w Noc Duchów, gdy zobaczył ją pierwszy raz.

– Nie zakładaj tego, proszę. – Przytrzymał jej rękę.

Elizabeth odwróciła się. Już miała zapytać, o co chodzi, kiedy poczuła, że Culley zakłada jej coś na ramiona. Spojrzała w lustro. Miała na sobie piękny czarny welwetowy płaszcz. Culley stał za nią z tyłu. Był zachwycony.

– Nie wiem, co o tym myśleć – szepnęła. – Płaszcz jest wspaniały.

Wendy, która obserwowała ich przez cały czas, podeszła teraz bliżej i dotknęła ją delikatnie.

– Mama jest dziś królową.

– Oj, maleńka, jesteś słodka – zaśmiała się Elizabeth, nieco skrępowana.

– Należał jeszcze do mojej babki – tłumaczył Culley. – Jestem pewny, że nie miałyby nic

przeciwko temu, żebyś go dziś założyła.

– Księżniczka... – Wendy nie mogła oderwać wzroku od matki. – Księżniczka Kerissa...

– Ach, już wiem, dlaczego tak mnie nazywa. – Elizabeth wzięła córkę za rękę. – Na pewno myślisz o stroju Kerissy z ostatniego odcinka „Zemsty Tajemniczego Rycerza”. Rzeczywiście podobny, pamiętasz?

– Nie. Nie znam tego filmu. I nie rozumiem, jak możesz pozwalać, żeby oglądała go dwuletnia dziewczynka.

– A ja nie rozumiem, s, kąd możesz wiedzieć, jaki to film, skoro go nigdy nie widziałeś?

– zaśmiała się, podając mu rękę.

Culley nie odezwał się. Na to pytanie nie miał żadnej sensownej odpowiedzi.

Rozdział dziesiąty

Elizabeth była naprawdę przestraszona. Obawiała się tego, co miało nastąpić – bała się przebywania z Culteyem, bała się chwili, kiedy będzie musiała oddać Wendy Resnickom i bała się samotnie spędzić święta.

Ale wszystko minęło, kiedy schodząc po schodach, zobaczyła wyraz twarzy Culleya. Przypominał ślepcę, który odzyskał wzrok i oglądał pierwszy wschód słońca... Jednym spojrzeniem sprawił, że poczuła się piękna, ważna, niezwykła, radosna... jak wówczas w Noc Duchów, kiedy okrył je swoim kocem i odszedł na palcach. Wtedy prawie uwierzyła w to, że może być dla niego odpowiednią kobietą. Przez jakiś czas pozwolił jej mieć nadzieję, ale później odsuwał się od niej, wręcz jej unikał, udając, że nic niezwykłego ani ważnego nigdy między nimi nie zaszło.

A jednak płaszcz był prawdziwy. Czuła na ramionach jego ciężar, ciepło ogarniające całe ciało. Dlaczego go jej podarował? Co to miało znaczyć?

„Dziś wieczorem” – powiedziała sobie. Po przyjęciu, po odwiezieniu Wendy powinni zostać sami w wigilijny wieczór. Wtedy właśnie go zapyta.

Sklepy były wciąż otwarte i pełne klientów robiących ostatnie świąteczne zakupy. Korek gęstniał z każdą minutą, wskutek czego dotarli do szpitala spóźnieni. Przebrnąwszy przez labirynt korytarzy, znaleźli się w kawiarni.

Przywitała ich Marge, która organizowała całą imprezę. Była bardzo przestraszona.

– Doktorze Ward, gdzie pan się podziewał? Niepokoił się o was. – Biorąc Culleya pod ramię, popchnęła go w stronę zaplecza. – Wszystko gotowe na twoje wejście. Idź się przygotować. Wszystko tutaj jest – kostium, worek... Potrzebujesz jeszcze czegoś?

– Nie – odpowiedział Culley – nie sądzę. – Spojrzał przez ramię na Elizabeth i Wendy. Wyglądały na zagubione.

– Idź, ja się nimi zajmę. – Obiecała, poklepując go po ramieniu. – No, idź już!

Spojrzenia Elizabeth i Culleya spotkały się. Elizabeth uśmiechnęła się. On skinął głową i ruszył na zaplecze.

– Pamiętaj, nie wychodź, dopóki nie usłyszysz piosenki.

– Dobrze – odpowiedział Culley do zamkniętych drzwi. Przebijając się spróbował kilkakrotnie charakterystycznych okrzyków. Czuł się jak idiota. Przypomniał sobie zadziwienie Elizabeth, kiedy podarował jej płaszcz. Zdawał sobie sprawę, że ta sytuacja mogła być zrozumiana jako wyznanie z jego strony. Wcale nie zamierzał tego prostować, bowiem w tych sprawach zawsze bardzo szybko podejmował decyzję. Shannon znał tylko kilka tygodni, zanim uświadomił sobie swoje uczucia.

– Mknąc pośród śniegu szybkimi saniami. – Domyślił się, że przyszła pora jego wielkiego wejścia. Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi.

– HoHoHo! Wesołych świąt! – powitał zebranych. Elizabeth ujrzała Culleya i stwierdziła, że jest najcudowniejszym świętym Mikołajem na ziemi!

– HoHoHo! – Culley podniósł Wendy. – Jak się masz, dziewczynko? Byłaś grzeczna w

tym roku?

Wendy odchyliła się do tyłu, aby lepiej go widzieć, potem pokazała palcem.

– Okulary tatusia!

Elizabeth poczuła skurcz żołądka, zaś w oczach Culleya dostrzegła obawę. Bezradnie wzruszyła ramionami – nie była w stanie mu pomóc, mógł liczyć tylko na siebie.

– Nosisz okulary? – nieśmiało zapytało Mikołaja dziecko bez włosów na głowie.

– Nigdy nie słyszałem o świętym Mikołaju w okularach – stwierdził starszy chłopiec. Miał gips na ręku, rany na twarzy i szyi.

– A co, czy myślisz, że nie boją mnie oczy od czytania wszystkich waszych listów, tych świątecznych litanii? Nie zapominaj, że sprawdzam je zawsze dwa razy, żeby się nie pomylić. Wiecie, co teraz zrobię? – zapytał, podnosząc małą dziewczynkę ubraną w dres z wizerunkiem Kubusia Puchatka i siadając razem z nią na krześle. – Opowiem wam historię. Chcecie posłuchać?

Dzieci zaczęły się uciszać.

– Jaką historię?

– Zobaczymy. Słyszeliście pewnie nieraz opowieść o Czerwonym Kapturku? A Piotruś Pan? Założę się, że oglądaliście go w telewizji.

Dzieci zgodziły się z nim entuzjastycznie. Prawie wszystkie zbliżyły się do Culleya i rozsiadły wygodnie u jego stóp. Ponad ich głowami poszukał wzrokiem Elizabeth.

– To będzie całkiem inna opowieść – zaczął. Patrzył Elizabeth prosto w oczy, jakby to, co mówił, skierowane było tylko do niej. – Opowieść o samotnym czarnoksiężniku-dziwaku, który mieszkał sam w swoim zamku, dopóki...

– Dlaczego był dziwakiem? – przerwało mu dziecko bez włosów.

– Ponieważ nie miał serca: – Culley mówił cichym niskim głosem, wywołującym w Elizabeth dziwne dreszcze. – Dawno, dawno temu ktoś złamał mu serce. Schował je więc do szafy, bo tam było bezpieczne. Nie musiał się już o nie martwić. Mieszkał samotnie i coraz bardziej się zmieniał. Aż pewnego dnia do drzwi jego zamku zapukała piękna zagubiona księżniczka. Nie była sama, wraz z nią zjawiała się także mała dziewczynka...

– Taka jak ja? – zapytało inne kalekie dziecko. Culley spojrzał na nie nieco zaskoczony, potem objął je i przytulił.

– Tak – powiedział zachrypniętym głosem – właśnie taka jak ty.

Mimochodem dostrzegł, że Elizabeth ukradkiem wyciera oczy. Nagromadzone w nim uczucia groziły wybuchem. Kochał ją i jej złotowłosą córeczkę siedzącą właśnie na jego kolanie.

Wiedział, że ma szansę na odwzajemnienie jego miłości.

– ... wtedy czarodziej podarował im swoje serce i żyli wszyscy razem szczęśliwie... – kończył swoją opowieść.

„Jest tylko jeden kłopot” – myślał, gdy przedstawienie dobiegło końca. Sam był już przygotowany na prawdziwy związek, nie był jednak pewien, jak jest z Elizabeth. Mimo okazywanego przez nią zainteresowania czuł, że targają nią sprzeczne uczucia. Może był to naturalny stan emocjonalny wynikający z niespodziewanego wdowieństwa, a może nie,

„Cholera – pomyślał – ona powinna z kimś o tym porozmawiać. „

Culley był cierpliwym człowiekiem, ale istniały jakieś granice. Wystarczająco długo był sam. Musi znaleźć sposób, aby pobudzić Elizabeth do mówienia.

„Dziś wieczorem – obiecał sobie. – Będziemy razem. Sami. Jest Wigilia. Porozmawiam z nią wieczorem.”

– Wszystko w porządku – stwierdziła Elizabeth, kiedy uchylił lekko drzwi wejściowe. – To było proste.

Stała odwrócona plecami, ale Culley widział w lustrze odbicie jej twarzy. W kapturze na głowie wyglądała powabnie, ale nawet w złotym świetle lamp widać było, że jest blada i spięta.

– Co było proste?

– Zostawienie Wendy. Bałam się, że urządzi wielką awanturę, ale widocznie była ogromnie zmęczona. Chyba w ogóle nie wiedziała, co się z nią dzieje, jak sądzisz?

Culley mruknął coś niewyraźnie. Zdejmując kaptur, Elizabeth zerknęła na lustro i wtedy ich spojrzenia spotkały się.

– Świetnie się bawiła na przyjęciu – ciągnęła dalej Elizabeth. – Zresztą obie bawiłyśmy się wspaniale. Wendy znalazła nowych przyjaciół... Widziałeś, jak ona i ta mała...

„Do diabła, Elizabeth! Przecież rozmawialiśmy już o tym w samochodzie” – pomyślał. W tej chwili nie mógł znieść jej sztucznego zachowania.

– ... fantastycznym Mikołajem, po prostu cudownym. A to, jak wybrnąłeś z kłopotu z okularami, było wprost genialne. Natomiast twoja opowieść... – Nie zamierzała zamilknąć ani na chwilę.

Culley chciał jej pomóc zdjąć płaszcz, ale zrobiła to sama, potem schyliła się, aby włączyć oświetlenie choinki.

– Co myślisz o mojej opowieści? – zapytał Culley łagodnie.

– Była bardzo piękna. – Blask choinkowych lampek rozlał się po pokoju. Elizabeth podniosła się, wesoło uśmiechnięta. – Wszystkim dzieciom się spodobała.

Nie odwzajemnił uśmiechu. Przesunęła nerwowo łańcuszek na szyi. „Swoim zachowaniem zdradzasz prawdziwą uczucia, Elizabeth – pomyślał Culley – nie zdołasz ich ukryć. „

Sięgnęła po pudełko z zapalkami. Odebrał je od niej.

– To Wigilia – powiedział cicho. – Jesteś wolna od obowiązków, ja to zrobię.

Elizabeth poruszyła się niespokojnie.

– Może masz ochotę na coś do picia? Zrobiłam poncz. Jest w lodówce.

– Elizabeth. – Culley potrząsnął głową. – Daj sobie spokój. Usiądź. Odpocznij.

Była już w połowie drogi do drzwi.

– Ale ja mam ochotę na trochę ponczu.

Po kilku minutach wróciła z dzbankiem i dwiema staroświeckimi szklaneczkami na tacy.

– Pomyślałam, że mi potowarzyszysz. – Wlewała poncz do szklanek. Wziął jedną z nich

do ręki.

– Co tu jest? Brandy czy coś innego?

– Rum. Nie znalazłam nic innego. – Wzrok Elizabeth powędrował w kierunku choinki. – Powinieneś obejrzeć swój prezent.

– Teraz?

– Tak. – Popijając poncz, patrzyła, jak otwiera pakunek. To był koniak. Ogromna butelka najlepszego koniaku.

Culley wiedział, że musiał to być dla niej niebagatelny wydatek.

– Nie wiedziałam, co ci dać – powiedziała niepewnie. – Dopiero gdy zobaczyłam w bibliotece tę wspaniałą kryształową karafkę i kieliszki... Dżentelmeni na ogół po obiedzie zaszywają się w bibliotece z kieliszkiem dobrego koniaku i cygarem.

„Wielkie nieba! – pomyślał Culley – ona uważa mnie za staroświeckiego dżentelmena. „ W tej samej chwili uświadomił sobie, że tak właściwie się zachowywał. Był sztywny, pełen rezerwy, z chłodnym dystansem do wszystkiego.

– ... może wlejesz odrobinę do swojego ponczu... Jeżeli oczywiście masz ochotę. – Jej słowa docierały do niego jakby przez mgłę.

– O nie, jest za dobry, żeby go tu wlewać. – Otworzył butelkę, wdychając oszałamiający zapach. – Jest świetny. Takim koniakiem trzeba się delektować.

– Poczekaj chwilę, pójdę po kieliszki.

Culley postawił butelkę na stole, obok jej szklanki.

– Elizabeth, zaczekaj. Mogę sam to zrobić.

W tej samej chwili znaleźli się razem w drzwiach.

– Culley, nie ma sprawy...

– Elizabeth. – Położył ręce na jej ramionach i odwrócił ją do siebie. Otworzyła usta, ale po chwili zamknęła je. – Nie musisz koło mnie skakać. Nie jestem sztywnym formalistą – zamilkł, spoglądając na miejsce, w którym kończył się zielony aksamit sukienki, a zaczynał kremowy jedwab jej skóry.

– Ale to jest mój obowiązek, jestem twoją... Westchnął głęboko.

– Elizabeth, przysięgam, jeśli jeszcze raz tak powiesz, ja... – Z rozpaczą wzniosł oczy w stronę nieba i dokończył: – ... pocałuję cię.

Wpatrywała się w niego ogromnymi błyszczącymi oczyma.

– Chyba się przesłyszałam!

– Chcę cię pocałować – stwierdził Culley, uśmiechając się lekko. – Są pewne staroświeckie zasady, których nie przestrzegam.

Powoli pochylił głowę i dotknął wargami jej ust, delektując się pocałunkiem.

Zaczęła drzeć, a on całował jej usta i tulił ciało. Przesuwając palcem po jej wilgotnych wargach, szepnął:

– O co chodzi?

– O nic – odrzekła, ale widać było, że toczy wewnętrzną walkę z własnym pragnieniem, tęsknotą i chęcią oporu...

– Elizabeth, powiedz mi... – Przecież czuję.

– Janie... To znaczy... chcę...

– Tak – zachęcał ją – powiedz.

– Chcę... abym mnie całował. Serce podskoczyło mu w piersi.

– Moja droga... – powiedział ochryłym głosem. – Będę... Ale najpierw muszę coś ci zdradzić. – Culley uśmiechnęła się do niej. – Jesteś zwolniona.

To zdanie wytrąciło ją zupełnie z równowagi. Widząc jej przerażenie, przytulił ją do siebie.

– „Oczywiście po świętach zatrudnię cię znów. A teraz proszę cię, chociaż raz zapomnij, że jesteś moją gospodynią. Jesteś... cudowną, wyjątkową kobietą. Pragnę być z tobą.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. W odpowiedzi pocałował ją – długo i z ogromną namiętnością, dopóki nie odsunęła się.

– Culley... ?

– Tak... ? – Gładził ją delikatnie po ramionach. – O co chodzi? Powiedz mi...

– Culley... potrzebuję cię – szepnęła w końcu.

– To przecież nic złego.

– Nie wiem... Czuję, że... Boję się.

– Wiem o tym. Ale nie powinnaś. – Delikatnie gładził ją po głowie, a potem łagodnie, lecz stanowczo zmusił ją do spojrzenia na siebie. – Elizabeth, nie stanie się nic, czego byś sama nie chciała...

Patrzyła mu głęboko w oczy. Zrozumiał, że próbuje mu uwierzyć.

– Culley, muszę cię o coś spytać.

– Pytaj, o co tylko chcesz.

Zamknęła oczy i przelknęła ślinę, tak jakby przygotowywała się do decydującego występu.

– Co miałaś na myśli... – Jej palce dotknęły złotego zapięcia na szyi. Były jak motyl dotykający płatkę kwiatu.

– Dając mi ten medalion i opowiadając tamtą historię?

– Dobry Boże! – głos Culley a był pełen zdziwienia. – Naprawdę nie wiesz?

– Jesteś czarnoksiężnikiem...

– A ty księżniczką, której oddałem serce...

„Tak prosto, jednocześnie tak cudownie i romantycznie”

– pomyślała Elizabeth. Prawda jego słów przekonała ją. Zachowywał rezerwę w stosunku do niej, ponieważ sądził, że ona tego potrzebuje. Czekał, aż minie jej żałoba. Żałoba! Dobry Boże, co by pomyślał, gdyby znał prawdę?

Zamknęła oczy i objęła go za szyję. Czowała, jak topnieje w żarze jego ciała... ale to jej już nie wystarczało. Pragnęła czuć go każdym skrawkiem swojej skóry i zatracić w pieśszczocie tak, aby nie pamiętać nic oprócz cudownych chwil miłosnego spełnienia.

Rozpiął zamek i zsunął z niej sukienkę. Stęsknionymi dłońmi gładził jej biodra, plecy, delikatne krągłe piersi.

– Elizabeth – wyszeptał – chcę się z tobą kochać. Chcę być dzisiaj z tobą całą noc, ale... nie chcę cię do niczego zmuszać. Nie zrobię nic, jeśli nie jesteś gotowa... Rozumiesz?

Elizabeth potrząsnęła przecząco głową. Nie chciała już dłużej rozmawiać, myśleć, pamiętać, czuć się winną. Pragnęła tylko C u l l e y a, jego rąk i ust oddanych bez reszty namiętności, pieszczących ją do utraty tchu, odbierających świadomość. Gzuć ciężar jego ciała wypełniającego ją wielką rozkoszą...

– Mogę przestać, jeśli tego chcesz – szepnął Culley. – Ty pójdziesz do swojego łóżka, a ja do swojego...

Elizabeth nie mogła już dłużej znieść napięcia w swoim ciele.

– To byłoby śmieszne.

– Tak, to byłoby... – Nie skończył, tylko z uśmiechem schylił głowę i dotknął ustami jej lekko rozchylonych warg.

Zaniósł ją na górę. Nigdy nie przypuszczała, że będzie tak odprężona i zrelaksowana. Wszystkie jej niepokoje i zahamowania po prostu zniknęły.

Gdy ją rozbierał, odpowiadała na jego dotyk z nie ukrywaną przyjemnością. Leżała w bladym świetle lampy, nie wstydząc się swojej nagości, i czekała na niego. Kiedy zbliżył się, wyciągnęła do niego ramiona, mówiąc mu bez słów, drżeniem swego ciała, jak bardzo go pragnie.

Culley dziwił się, dlaczego tak długo opierał się temu cudownemu zjawisku – rozrzuconym na łóżku włosom, delikatnemu smukłemu ciału. Była dla niego uosobieniem piękna i kobiecości. Jej lekko przymknięte oczy, nabrzmiące i mokre od pocałunków usta, różowa gładka skóra, małe krągłe piersi – oczekiwały go... Pochylił się nad nią, oplatając ją rękoma. Pieścił dłońmi i ustami całe jej ciało, drżące spazmatycznie od rytmicznego dotyku. Czuł jej palce błądzące na swoim brzuchu. Językiem muskał koniuszki jej piersi. Pieszczota była tak przyjemna, że odruchowo rozchyliła kolana i dotknęła rękoma jego brzucha. Wygięła ciało, aby mocniej czuć szaleńczy dotyk jego ust. Kiedy jęknęła słabo i zasłoniła dłonią miejsce między udami, Culley odsunął jej rękę i głaskał ją najdelikatniej, jak potrafił.

Westchnęła ciężko, gdy przesunął się po mej i dał jej poznać cały ciężar ciała. Wyszła mu na spotkanie, szukając jego ust i niecierpliwie torując drogę do swego ciała. Była gotowa na jego przyjście, on zaś wciąż ją pieścił, pokrywając jej wilgotną ciepłą skórę namiętnymi pocałunkami. W końcu otworzył oczy i hamując drżenie wszystkich mięśni, wszedł w nią. Usłyszał jej ciężki oddech, a potem westchnienie ulgi i zadowolenia.

Mógł zatrzymać się i czekać, aż jej ciało dostosuje się do jego obecności, ale uniosła biodra i oplatając go nogami, przycisnęła mocno do siebie. Culley poczuł, że nie jest w stanie kontrolować się ani chwili dłużej. Pozwolił im obojgu wzbijać się wysoko, aż osiągnęli miejsce bez granic, bez czasu i bez drogowskazów...

Rozdział jedenasty

– Nigdy nie czułam się tak, jak teraz – szepnęła Elizabeth, wyciągając się swobodnie na łóżku.

Culley nic nie odpowiedział, gładził tylko jej zwichrzone włosy i przytulał do siebie. Ze wszystkich sił pragnęła, aby ta chwila trwała wiecznie, bojąc się, że nawet najmniejszym ruchem może wszystko zniszczyć.

– Czuję się... – przerwała. Zaniknęła oczy. Znowu upajała się zapachem jego skóry, dotykiem ciała. Miała ogromną ochotę znowu go pocałować. – Czuję się cudownie... Uwielbiam twoje pieszczoty, twój dotyk...

– Jesteś wyjątkową kobietą. – Całował jej włosy, twarz, potem szyję. – Wiesz o tym, prawda?

Zapadła cisza. Pragnął, żeby dała mu jakikolwiek znak. W napięciu oczekiwał odpowiedzi.

– Elizabeth?...

Próbowała odwrócić się od niego, ale uścisk był silny.

– Mój Boże, Elizabeth, jak możesz o tym nie wiedzieć? Jesteś taka piękna, szlachetna, dobra... Niewiele jest kobiet zasługujących na uwielbienie...

Zacisnęła usta, a po policzku spłynęły łzy. Próbowała szybko wytrzeć oczy, ale ręka Culleya była pierwsza. Objął ją delikatnie i znowu przytulił do siebie.

Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało. Czuł, że jest jakieś wydarzenie w życiu Elizabeth, które wytworzyło w niej emocjonalną barierę. Nic z tego nie rozumiał i miał już dosyć niepewności.

– Elizabeth – odezwał się ostrożnie. Leżała obok niego, ale myślami była gdzie indziej. – Przed chwilą zadałaś mi pytanie. – Błądził palcami po jej ramionach, na nowo odkrywał rysy jej twarzy, zanurzał palce w miękkich włosach. – Ja odpowiedziałem ci naprawdę szczerze. Wiesz o tym. Teraz moja kolej. Chciałbym cię o coś spytać.

I proszę, bądź ze mną tak samo szczerą. Dobrze?

Elizabeth kiwnęła przytakująco głową. Głos Culleya i jego dotyk podziałały na nią kojąco. Nie czuła już przerażenia, ból stał się mniej wyraźny, mniej dokuczliwy.

– Powiedz mi, co przed chwilą było między nami? To pytanie całkowicie ją zaskoczyło. Nagle poczuła się zażenowana. Uniosła głowę i zdziwiona spojrzała na niego.

– Culley, ja... Nie wiem, co masz na myśli...

– Po prostu powiedz, co przed chwilą robiliśmy. – Jego głos był delikatny, ale wyczuła też pewne zdecydowanie, jakąś nieugiętość.

Zamknęła oczy. Przez moment nie chciała o niczym myśleć. Rozkoszowała się bliskością jego ciała, jego gorącym oddechem, obecnością.

– My... kochaliśmy się.

– Tak – odpowiedział miękko – kochaliśmy się. I jak się teraz czujesz?

Nie potrafiła na to odpowiedzieć. „Dlaczego – pomyślała – tak trudno jest opowiedzieć o

swoich uczuciach?” Culley delikatnie próbował jej pomóc.

– Mówiłaś, że czułaś się wspaniale, wyjątkowo...

– Tak – przytaknęła.

– Ale nie byłaś ze mną szczęśliwa?

Nie zaprzeczyła. Culley wstrzymał na chwilę oddech, zaciskając wargi. Był wściekły. Wiedział, że musi rozszyfrować tę zagadkę.

Wyczuwał instynktownie, że Elizabeth czegoś się boi.

Nie musiała mu wcale tego mówić, czytał to z jej oczu. Na początku wydawało mu się, że to on jest przyczyną. Teraz był już pewny, że nie o niego chodzi. Pamiętał przecież doskonale, z jaką ufnością i otwartością odnosiła się do niego, kiedy byli tylko we dwoje. Z pewnością był inny powód. Instynkt, czy może intuicja podpowiadały mu rozwiązanie: Elizabeth obawiała się własnych uczuć, bała się miłości.

Nagle on również poczuł strach. To uczucie dopadło go tylko raz w życiu, kiedy zdał sobie sprawę, że może utracić Shannon. Tak jak wtedy targaly nim skrajne emocje: złość, frustracja, przerażenie, z którymi – mimo swego talentu i wiedzy – nie potrafił sobie poradzić. Teraz też miał trudności. Nie był psychologiem ani cudotwórcą. Był tylko człowiekiem i cieszył się, że po pięciu latach samotności znalazł wreszcie kogoś, kogo pokochał. Wiedział też, że jest coś, to nie pozwala odwzajemnić tej miłości.

– Elizabeth, co ty w ogóle do mnie czujesz? Podniosła się zdenerwowana. Męczyła ją ta rozmowa, bała się następnych pytań.

– Co ja do ciebie czuję?... – Odsunęła ręką włosy z czoła.

Culley nie mógł już dłużej tego wytrzymać. Chwycił ją za nadgarstki i przycisnął do łóżka.

– Odpowiedz mi – zażądał ochryple. – To uczciwe pytanie. Ja już ci na nie odpowiedziałem.

Ujrzał przerażenie w jej oczach, ale nie zwolnił uścisku.

– Elizabeth, to co było między nami, nie jest dla mnie żadną zabawą czy grą. Chcę... Muszę wiedzieć, co do mnie czujesz.

– Ja też traktuję to bardzo poważnie – szepnęła. „Powinnam była wiedzieć – pomyślała – że on zmusi mnie, abym się przed nim otworzyła. Jestem w końcu jedną z niewielu osób na świecie, które wiedzą, że doktor G. Culley Ward naprawdę jest... Powinnam się domyślić, że będę musiała mu wszystko opowiedzieć. „ Culley nie zwalniał uścisku. Nie mogła się nawet poruszyć, kiedy znowu usłyszała jego surowy, ale jednocześnie pełen emocji głos.

– Kochasz mnie, Elizabeth?

Świat zawirował jej przed oczami. Ledwie udało się jej zebrać myśli.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Jak możesz tego nie wiedzieć? – Nie spodziewał się takiej odpowiedzi i z trudem przyjął porażkę. Nagle usłyszał wypowiedziane w pośpiechu słowa: – Chodzi o to, że ja w ogóle nie mam pojęcia, co to znaczy miłość. Kiedyś kogoś mocno kochałam. Myślałam, że to była prawdziwa miłość. Ale potem... nienawidziłam go tak bardzo, że chciałam, żeby umarł. – Jej głos stał się ostry. – Czy ty wiesz, jak to jest, kiedy nienawidzisz kogoś z całego

serca i życzysz mu śmierci? Uważałeś mnie za biedną nieszczęśliwą wdowę? – Zaśmiała się gorzko. – Chcesz naprawdę wiedzieć, co czułam, gdy powiedziano mi, że on nie żyje? Ulgę. Tak wielką, że rozplakałam się. Wszyscy starali się mnie pocieszać, ale ja myślałam tylko o jednym, że on już więcej nie wróci, że jestem wolna i nigdy nie będę musiała się bać...

– Elizabeth... – Culley próbował ją objąć, ale odepchnęła go. Wstała z łóżka. – No, a teraz powiedz mi, czy po tym wszystkim mogę wiedzieć coś o prawdziwej miłości? – Spojrzała na niego ze łzami w oczach i szybko wyszła z pokoju.

– Elizabeth... – Zamknął oczy. Nie wiedział, co ma robić. Wina. To wina, a nie żałoba hamowała jej reakcje. Nie nosiła żałoby po mężu, chociaż kiedyś bardzo go kochała. Zadręczała siebie za to, że nie kochała go wystarczająco mocno i wystarczająco długo.

Wiedział, że żałoba jest jak rana – najczęściej goi ją czas. „Ale wina – pomyślał – jest jak drzazga – pozostawiona sprawia coraz większy ból, który z czasem nie pozwala normalnie żyć. „

Znalazł ją w salonie. Siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami, opromieniona światłem choinkowych lampek. Okryła się kocem i patrzyła przed siebie. Dopiero po chwili dostrzegła, że stoi w drzwiach.

– Wesołych świąt.

– Co? – Culley nie zrozumiał.

– Przed chwilą zegar wybił północ. Już święta.

– Ach, tak... W takim razie, wesołych świąt, Elizabeth.

Wszedł do pokoju.

– Może napalić w kominku? Wzruszyła ramionami.

– Nie jest mi zimno, ale jeśli chcesz, proszę bardzo.

Przyniósł drewno i ułożył je równo przed podpaleniem. Potem nalał koniaku. Podał jej kieliszek, ale nie podniosła głowy, żeby nań spojrzeć.

– To nie była twoja wina. To nie ty go zabiłaś.

– Wiem o tym. Nie jestem dzieckiem.

– I nawet nie mogłaś temu zapobiec. Sączyła koniak bez słowa.

– Elizabeth, ty nie byłaś odpowiedzialna za to, co on robił. Co to było? Alkohol? Narkotyki?

– Jedno i drugie – przytaknęła.

– To wszystko było wcześniej, zanim jeszcze się poznaliście, prawda? A więc jak mogłaś być przyczyną jego śmierci?

– Ja wszystko pogorszyłam.

– Elizabeth...

– To prawda. Kevin był... Po prostu nie radził sobie w sytuacjach stresowych. A kiedy wziął na siebie jeszcze obowiązki męża, a potem ojca... To była moja wina... Ten wypadek... Powinnam...

– Przestań – przerwał jej gwałtownie. – To są normalne sprawy w życiu. Jeżeli on nie mógł sobie z nimi poradzić, to jego wina. Ty nie masz, naprawdę nie masz z tym nic wspólnego.

Odstawił kieliszek i usiadł przy niej.

– Musisz pozbyć się tego balastu. Jeżeli tego nie zrobisz, zmarnujesz całe swoje życie. To wywiera wpływ na twój system wartości, na twoje kontakty z ludźmi...

– Czy to nie wykracza poza twoje kompetencje, doktorze Ward? – powiedziała złośliwie.

– Jesteś przecież fizykiem jądrowym, prawda? Nie jesteś psychoterapeutą.

– Do cholery, Elizabeth, nie muszę nim być, żeby wiedzieć, co się z tobą dzieje. Cała jesteś na granicy wytrzymałości. Pozwalasz, żeby teściowie ingerowali w twoje życie. Wpadasz w panikę, gdy Wendy oddała się choćby na minutę. Dlaczego zawsze myślisz, że stanie jej się coś złego? Powiem ci: bo gdzieś głęboko jesteś przekonana, że nie zasługujesz na to, aby mieć taką wspaniałą córkę, być dumną matką i szczęśliwą kobietą.

Próbowała mu przerwać, ale Culley objął ją mocno i przytulił do siebie.

Elizabeth nie mogła już dłużej walczyć – ani z nim, ani ze sobą. Bezradnie oparła się na jego ramieniu. Spokój i opanowanie Culleya powoli uśmierzały jej ból, serce zaczynało bić spokojniej.

– Elizabeth, zasługujesz na to, żeby kochać i być kochaną. Musisz w tQ wreszcie uwierzyć – jego głos był delikatny i czuły.

– Wierzę... – szepnęła. – Wierzę, bo wiem, że... naprawdę cię kocham.

Culley nic nie odpowiedział, domyślając się, jak wiele kosztowała ją ta szczerość. Po chwili poczuła, że pocałował ją lekko we włosy, tak jakby udzielał jej błogosławieństwa. Błogosławieństwa na nowe życie. Potem wziął ją w ramiona i znowu zaniósł na górę.

Tej nocy powtórzyła jeszcze kilka razy te magiczne słowa. Teraz wymawiała je z radością, wzmacniała się jego siłą i wiarą. Wiedziała, że jej życie wreszcie się zmieniło.

– Po prostu nie mogę uwierzyć w tę miłość. Nie mogę uwierzyć, że ty mnie kochasz. To nieprawdopodobne szczęście...

– Musisz w to uwierzyć. Nigdy nie byłem bardziej poważny.

– Ja nie wiem, czy...

– Elizabeth, pomyśl, jak po tym wszystkim, co wspólnie przeżyliśmy, mógłbym cię nie kochać?

Widziała w jego oczach ogromne zdecydowanie, był gotów walczyć o nią. Im dłużej na nią patrzył, tym pewniejsze stawało się jego spojrzenie.

– To wszystko jest dla mnie jakimś niespodziewanym cudem...

Culley pocałował ją delikatnie.

– Ciągle nie rozumiem – powiedział – jak możesz być tym zaskoczona. Przecież to wszystko nie stało się nagle. Sami zbudowaliśmy naszą miłość. Niczego nie przeczuwałaś, kiedy postanowiłem zasypać sadzawkę?

– Nie, nie wtedy. – Elizabeth uśmiechnęła się do niego. – Może i miałam jakieś przeczucia, ale wtedy zacząłeś mnie unikać...

– A kiedy dałem ci medalion? Na pewno musiałaś...

– Nie – przerwała mu wesoło – wtedy jeszcze nie. To mogło być w chwili, kiedy dałeś mi płaszcz księżniczki Kerissy.

Poczuła, że przez chwilę był bardzo spięty. Nerwowo bawił się jej włosami.

– Księżniczka Kerissa? Skąd...

Elizabeth była rozbrojona sposobem, w jaki Culley próbował zapanować nad emocjami.

– Ach tak, rozumiem. Chodzi ci o to, że Wendy powiedziała, że wyglądasz jak...

– Nie. – Elizabeth pokręciła przecząco głową. Była naprawdę rozbawiona. – Nie – powtórzyła.

Culley zamknął oczy. Nie mógł w to uwierzyć.

– Boże? – powiedział po chwili. – Od kiedy o tym wiesz?

Uniosła się i opierając się lekko na jego piersi, zaczęła bawić się jego włosami.

– To ty jesteś tym nie znanym Wardlawem. Ty stworzyłeś Tajemniczego Rycerza i księżniczkę. Jesteś największym romantykiem od czasów króla Artura...

– Tak. Teraz nie mam już nic do ukrycia.

– Na początku nie miałam o tym żadnego pojęcia. Pewnego dnia Wendy weszła do twojego pokoju przejściem dla kotów. Nie mogłam jej stamtąd wyciągnąć, musiałam otworzyć drzwi i wtedy...

– Właściwie to dobrze, że tak się stało – powiedział. – Przez cały czas zastanawiałem się, jak ci o tym powiedzieć. To nie byłoby wcale takie proste.

Elizabeth zauważyła rumieńce na jego twarzy. Wzruszyła ją jego szczerość i chłopiące zakłopotanie.

– Kocham cię Kocham cię, doktorze Ward. Kocham cię, mój Wardlawie... Kocham cię.

Obudzili się bardzo późno. Wzięli prysznic, odkrywając na nowo swoje ciała, tak jakby widzieli się pierwszy raz. Zjedli razem świąteczne ciastka, popijając sokiem ze świeżych pomarańczy, a potem zeszli do kuchni, żeby przygotować gęś na uroczysty obiad.

Cały czas rozmawiali ze sobą. Culley opowiadał jej, jak doszło do napisania przez niego pierwszych przygód Rycerza. Mówił o próbach zapomnienia po śmierci Shannon, o zaskoczeniu spowodowanym sukcesem pierwszych odcinków.

Elizabeth powiedziała mu, że przyjechała do Los Angeles, żeby uciec przed zaborczym ojcem, że była samotni i bez przyjaciół. Dlatego związała się z pierwszym mężczyzną, który zwrócił na nią uwagę.

– Kevin był zwariowany na moim punkcie – mówiła – a to mile łaskotało moją ambicję. Był wysokim przystojnym blondynem i uważał mnie za najwspanialszą osobę, jaką spotkał w życiu...

Wieczorem, kiedy zjedli obiad i posprzątali w kuchni, wyszli na spacer. Na dworze było chłodno, zmrok zapadł bardzo szybko i już po kilkunastu minutach musieli wracać. Ogrzali się przy kominku, popijając świąteczny koniak.

– Kevin widział, że ty masz coś, czego jemu brakowało – wewnętrzną siłę. Ja też to zauważyłem. W pierwszej chwili, kiedy zapukałaś do moich drzwi. Przypominałaś wtedy lwicę.

Elizabeth uśmiechnęła się i zerknęła na zegar stojący na toalecie.

– Kiedy wraca Wendy? – Domyślił się, jaki jest powód jej niepokoju.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

– Powiedzieli, że przywiozą ją dziś wieczorem. Nie umawialiśmy się na konkretną

godzinę, ale jest już po szóstej, a o siódmej Wendy zwykle idzie spać.

– Jeśli się o nią martwisz, to po prostu do nich zadzwoń.

Elizabeth spojrzała na niego z wdzięcznością i szybko wyszła do kuchni. Po chwili wróciła odprężona i uśmiechnięta.

– Nikt nie odbiera telefonu, pewnie są już w drodze. To tylko pół godziny jazdy. Będą tu za chwilę.

– To bardzo dobrze. Już się za nią stęskniłem. Muszę ci powiedzieć, że bardzo ją kocham. W odpowiedzi pocałowała go tylko i mocno przytuliła się do niego.

Pół godziny później nie mogła spokojnie usiedzieć. Spacerowała nerwowo po pokoju, co chwila zerkając na zegar.

– Gdzie, do diabła, oni mogą być?

– Pewno zatrzymali się gdzieś po drodze, żeby coś zjeść. Może akurat teraz siedzą w którymś z barów McDonalda?

– Wendy uwielbia McDonalda – powiedziała cicho, ale zdenerwowanie nie opuściło jej nawet na chwilę.

Okolo ósmej Culley również zaczął się poważnie niepokoić. Nie potrafił już wymyślić żadnych usprawiedliwień.

Elizabeth była jednym wielkim kłębkim nerwów. Wyrzucała sobie, że w ogóle pozwoliła Wendy pojechać do dziadków.

– Boże, nie pozwól, żeby coś jej się stało – prosiła z rozpaczą.

Culley nie wiedział, jak jej pomóc. W końcu zaczął dzwonić do Resnicków co piętnaście minut. Potem zadzwonił jeszcze na policję, aby upewnić się, czy na autostradzie nie wydarzył się jakiś wypadek. Skontaktował się nawet ze szpitalem.

– Jeśli stałoby się coś złego, na pewno już byśmy o tym wiedzieli – powiedział. – Powiadomiono by nas.

– A skąd mieliby wiedzieć, kogo zawiadomić? Przecież Wendy nie nosi na szyi tabliczki z twoim adresem. Wątpię też, czy Resnickowie mają go przy sobie.

To był najdłuższy i najgorszy wieczór w jego życiu. Przypominał mu długie godziny spędzane przy łóżku Shannon w czasie jej choroby. Wtedy wiedział, że będzie musiał ją stracić, był na to przygotowany. Niepewność, która go teraz ogarniała, była o wiele straszniejsza.

Ciągle miał przed oczami wesołą buzię Wendy. Czuł jej rączki obejmujące go za szyję. Słyszał jej śmiech i słodkie szczebiotanie, gdy wdrapywała mu się na kolana, mówiąc do niego „tatuś”.

Zegar pokazywał już dziesiątą, gdy Culley zauważył światła samochodu. Elizabeth powoli wstała z krzesła. Podszedł do okna. Z ulgą zauważył, że nie był to ani samochód policyjny, ani karetka pogotowia.

– Czy Resnickowie mają mercedesa?

Skinęła głową i szybko wytarła oczy. Objął ją ramieniem i zeszli razem na dół.

Otworzył drzwi. Widzieli, jak Carl Resnick wysiadł z samochodu, tuląc w ramionach zaspaną Wendy. Elizabeth zauważyła natychmiast, że mała była ubrana w nową błękitną

kurteczkę i trzymała nowego różowego misia. Dopiero po chwili zobaczyła Margaret i dwa ogromne balony zmalowanymi na nich buziami Myszki Miki.

Carl podszedł do nich.

– Wybaczcie nam, że jesteśmy później, niż to planowaliśmy, ale Wendy naprawdę świetnie się bawiła. Była tak zmęczona, że usnęła w samochodzie. Jeśli chcecie, położę ją od razu do łóżka.

– Culley – Elizabeth położyła dłoń na jego ramieniu – czy mógłbyś wziąć Wendy? Chciałabym chwilę porozmawiać z Margaret i Carlem.

Spojrzał na nią z pytaniem w oczach. Nie wiedział, czy powinien zostawić ją teraz samą, ale ona uśmiechnęła się i pocałowała go delikatnie.

– Wszystko w porządku – szepnęła, gładząc Wendy po główce. – Zaraz do was wrócę, dobrze?

Wahał się jeszcze przez moment, ale nie sprzeciwiał się jej. Wziął Wendy na ręce i zostawił ich samych.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, przez krótki moment zapanowała cisza. Margaret odezwała się pierwsza, podając Elizabeth kolorowe balony.

– Weź je, proszę. Wendy była nimi zachwycona. Elizabeth przerwała jej ostro.

– Ale ja nie jestem zadowolona, że nie uprzedziliście mnie, że chcecie ją zabrać do Disneylandu.

– Cóż, to była niespodzianka. – Carl starał się złagodzić sytuację. – Co prawda, powinniśmy zadzwonić, ale sami nie wiedzieliśmy dokładnie, kiedy wrócimy. Nie przypuszczałem, że będziesz się tak denerwować.

– Martwiłam się – powiedziała niecierpliwie – bardzo się martwiłam. Czekałam na telefon. Na przyszłość nie życzę sobie, żebyście gdziekolwiek zabierali Wendy bez uprzedniego powiadomienia ranie i bez mojej zgody. Czy to jasne?

Carl wydawał się bardzo zaskoczony.

– Cóż, kochanie, jeśli tak uważasz... Margaret słuchała z niedowierzaniem.

– Zaraz przyniosę resztę rzeczy Wendy. Zostały w samochodzie...

– Nie teraz, jest już późno. – Elizabeth nie czuła już zdenerwowania. – Chciałam ustalić z wami zasady następnych spotkań z Wendy. O ile, oczywiście, nie macie nic przeciwko temu...

Pożegnali się szybko, prawie bez słów. Elizabeth z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

– Zrobiłam to. Wreszcie się odważyłam – powiedziała Culleyowi, który akurat schodził na dół.

– Co zrobiłaś, kochanie? – zapytał, patrząc na nią z zachwytem.

Opowiedziała mu wszystko, wciąż nie wierząc w to, co się stało.

– Brawo! – zawołał. – Jestem z ciebie dumny i Bardzo, bardzo cię kocham!

Dokładnie o trzeciej w nocy obudził ich telefon. Culley podniósł słuchawkę.

– Halo – powiedział. – Słucham?

– Och, kochanie, czyżbym cię obudziła? – poznał głos matki. – Tak mi przykro. Nie mogę sobie poradzić z tą różnicą czasu. Dzwonię, żeby życzyć ci wesołych świąt. Tu już właściwie jesteśmy po świątach.

- Tu też, mamó. Jest trzecia w nocy.
 - Tak? No cóż, przepraszam. A jak spędziłaś święta? Co słychać u Elizabeth i Wendy?
 - Wszystko w porządku – uśmiechnął się, patrząc na czerwonozłote włosy.
 - Złóż im życzenia ode mnie. Tylko nie zapomnij...
 - A może chcesz sama to zrobić? – zapytał, ignorując rozpaczliwe gesty Elizabeth. – Jest tu obok. Kochanie – zwrócił się do niej – to matka. Dzwoni, żeby złożyć ci życzenia.
- Elizabeth wzięła od niego słuchawkę.
- Wszystkiego najlepszego, pani Ward – powiedziała niepewnie.
- Przez chwilę w słuchawce zapanowała cisza.
- Dzięki Bogu, najwyższy czas. To chyba znaczy, że mogę już wrócić do domu. Nie wiedziałam, ile jeszcze będę musiała na to czekać. Jestem już zmęczona tymi tropikalnymi wyspami. Myślałam, że umrę tu z tęsknoty za domem.
- Culley odłożył wreszcie słuchawkę. Pomyślał chwilę, potem zwrócił się do Elizabeth:
- Wiesz, chyba jest ktoś, kto zaplanował to wszystko za nas.
 - Co?
 - Moja matka wymyśliła sobie to wszystko i zrealizowała swój plan w najdrobniejszych szczegółach. Jak się czujesz w roli ofiary?
 - Czy wyglądam na osobę, której ten spisek mógłby się nie podobać?
 - Właściwie, to chyba nie. – Zbliżył się do niej z pożądaniem w oczach.
 - Co robisz, mamó? – Wendy przecierała zaspane oczka.
 - O, nie! – jęknęła Elizabeth. – Chyba będziemy musieli jakoś rozwiązać ten problem, nie uważasz?
 - Hm, chyba nawet wiem, jak to zrobić... Musimy się tylko pospieszyć.
 - O tak, jestem pewna, że Wendy nie chciałaby być jedynaczką...

Wendy przebudziła się i usiadła na łóżeczku. Właściwie nie była ani wystraszona, ani zmarznięta. Miała przy sobie swój ulubiony kocyk i ukochanego misia, no i wiedziała, że obok w pokoju mama śpi z tatą w jego ogromnym łóżku. Chciała tylko, żeby ktoś się do niej przytulił i opowiedział jej nową bajkę. Pomyślała, że najlepiej byłoby położyć się z mamą, dlatego wstała z łóżeczka i poszła pod drzwi sypialni, lecz były zamknięte. Przypomniała sobie o wyjściu dla kotów. Było niewielkie, ale jeśli...

Zapamiętała, że mama powiedziała kiedyś, iż grzeczne dziewczynki nie wychodzą w nocy ze swoich łóżeczek. Mama mogłaby się na nią pogniewać i tatuś też – a tego nie chciała.

Zrobiło jej się smutno. Może, jeśli będzie płakać bardzo głośno, ktoś ją usłyszy i przyjdzie zobaczyć, co się stało...

Nagle usłyszała jakieś cichutkie szmery. Zajrzała pod łóżko i wyciągnęła stamtąd małego kociaka. Aż zapiszczała z radości. Wzięła kotka do siebie i położyła go na poduszce. Przytuliła buzią do jego ciepłego miękkiego futerka. Zamknęła oczy. Teraz już nie bała się leżeć bez mamy. Nareszcie poczuła się bezpieczna.